

**ALFRED HITCHCOCK**

**TAJEMNICA  
PŁONĄCEGO URWISKA**

**PRZYGODY TRZECH DETEKTYWÓW**

(Przełożyła: IWONA ŻÓŁTOWSKA)

## Słowo wstępne Alfreda Hitchcocka

Witam miłośników tajemnic!

Trzech Detektywów spotkałem niedawno; od pierwszej chwili bardzo polubiłem tych chłopców. Z radością przedstawiam ich czytelnikom, którzy dotychczas nie znali moich przyjaciół.

Jupiter Jones - Pierwszy Detektyw kierujący całą grupą - to odważny chłopak obdarzony doskonałą pamięcią; ma dar wydobywania na jaw prawdy, choćby sprawa była wyjątkowo zawiślana. Koledzy zawsze mogą liczyć na silnego i mocno zbudowanego Pete'a Crenshawa zwanego Drugim Detektywem, który niekiedy bywa poważnie zaniepokojony ryzykownymi pomysłami Jupitera. Odpowiedzialny za dokumentację i analizy Bob Andrews najchętniej głowi się nad ważnymi problemami w ciszy i spokoju. Wszyscy trzej mieszkają w niewielkim nadmorskim miasteczku Rocky Beach, w słonecznej Kalifornii.

Na kartach tej powieści spotkacie milionera, który wybudował sobie prawdziwą twierdzę i dobrowolnie odciął się od świata; poznacie również jego żonę, oczekującą spotkania z przyjaznymi Ziemianom przybyszami z kosmosu. Dziwna sytuacja? Owszem. Trójka detektywów miała okazję się przekonać, że spotkanie z kosmitą może być niebezpieczne.

Mam nadzieję, że udało mi się was zaciekawić. Przed wami rozdział pierwszy i początek wielkiej przygody.

Alfred Hitchcock

## ROZDZIAŁ 1

### Stary awanturnik

- Dotknij pan tego auta choćby jednym palcem, a przysięgam, że wygarbuję komuś skórę jak się patrzy - wrzeszczał Charles Barron.

Jupiter Jones stał na podjeździe wiodącym do składu złomu i staroci należącym do jego krewnych i pilnie obserwował niezwykle zajście. Zastanawiał się, czy Barron mówi serio.

Postawny mężczyzna nie rzucał słów na wiatr. Wystarczył rzut oka, by spostrzec, że dyszy wściekłością. Poczerwieniał na twarzy okolonej siwą czupryną. Zaciśnął pięści i patrzył spode łba na Hansa, jednego z dwu przybyłych z Bawarii braci, którzy pracowali w składzie Jonesów.

Hans był tak zbity z tropu, że aż pobladł. Przed chwilą uprzejmie zwrócił uwagę panu Barronowi, że jego mercedes blokuje wejście do pomieszczeń biurowych, i zaoferował się z przestawieniem auta w inne miejsce.

- Wkrótce nadjedzie spora ciężarówka wypełniona po brzegi stolarką - próbował spokojnie wyjaśnić, w czym rzecz. - Kierowca nie zdoła ominąć pańskiego samochodu. Gdybym zaparkował go w innym miejscu...

- Moje auto pozostanie tu, gdzie je postawiłem! - ryknął Barron. - Niedobrze mi się robi na widok idiotów, którzy próbują mi dyktować, co mam robić ze swoją własnością! Zaparkowałem auto, jak trzeba! Czy wy tu nie potraficie zadbać o klienta?

Tytus Jones, wuj Jupitera, wyłonił się niespodziewanie zza stosu rupieci.

- Panie Barron - oznajmił z naciskiem - wiemy, jak należy traktować klientów, ale to nie znaczy, że wolno panu bezkarnie pomiatać moimi pracownikami. Skoro pan sobie nie życzy, by Hans przestawił samochód, proszę to zrobić samemu. Radzę się pospieszyć, bo niezależnie od pańskiego widzimi się ciężarówka wjedzie na teren składu!

Barron otworzył usta, jakby miał zamiar dalej wrzeszczeć, lecz nim zdążył się odezwać, podeszła do niego smukła szatynka w średnim wieku. Ujęła złośnika za ramię i spojrzała na niego prosząco.

- Charles, przestaw ten samochód - powiedziała. - Dreszcz mnie przechodzi na samą myśl, że mógłby zostać uszkodzony.

- Nie ma obawy, już ja do tego nie dopuszczę - mruknął Barron. Wsiadł do mercedesa i uruchomił silnik. Po chwili zaparkował na pustym placu obok biura. Większa z dwu

ciężarówek używanych w składzie złomu i staroci, wyładowana po brzegi drewnianymi rupieciami, minęła powoli bramę.

Szatynka uśmiechnęła się do Hansa.

- Mój mąż nie chciał pana urazić - oznajmiła. - To człowiek ogromnie impulsywny i...

- Jestem dobrym kierowcą - przerwał rozżalony Hans. - Od dawna pracuję dla pana Jonesa. Nie miałem żadnego wypadku - odwrócił się na pięcie i odszedł.

- O mój Boże! - westchnęła pani Barron. Z niepokojem popatrzyła na Tytusa Jonesa, potem na Jupitera, a w końcu na Matyldę Jones, która przed chwilą wyszła z biura.

- Co się dzieje z naszym Hansem? - wypytywała zaniepokojona pani Jones. - Wygląda jak chmura gradowa.

- Obawiam się, proszę pani, że mój mąż obszedł się z nim dość grubiańsko - odparła smutno szatynka. - Charles bywa drażliwy, a dziś ma zły dzień. Podczas śniadania kelnerka oblała go kawą. Charles jest szczególnie wytrącony z równowagi, gdy ma do czynienia z osobami, które nie przykładają się do pracy. To najgorsza plaga naszych czasów. Bywają dni, kiedy z niecierpliwością wypatruję przybycia naszych opiekunów.

- Proszę? - rzucił niepewnie wuj Tytus.

- Mam na myśli kosmitów, którzy przybędą po nas z planety Omega - odparła pani Barron. Tytus Jones nadal nie rozumiał, o co chodzi, ale Jupiter skinął głową, jakby wszystko się nagle wyjaśniło.

- Pisze o tym autor nazwiskiem Contreras w książce "Oni są wśród nas". Podobno kosmici mają zabrać ludzi do siebie - wyjaśnił Jupiter. - Autor opisuje odwiedzinę mieszkańców planety Omega, którzy nieustannie nas obserwują. Gdyby na Ziemi doszło do kataklizmu, uratują grupę Ziemiaków. Dzięki temu ludzkość przetrwa i odbuduje swoją cywilizację.

- A zatem wiesz, młody człowieku, że czeka nas spotkanie z kosmitami! - zawołała pani Barron. - To cudownie!

- Bzdu... - zaczął wuj Tytus, ale ciotka Matylda wpadła mu w słowo i powiedziała z ożywieniem:

- Jupiter jest bardzo oczytany. Czasami zaskakuje nas swoją erudycją.

Ciotka Matylda wzięła panią Barron pod rękę i pociągnęła w głąb składowiska. Z ożywieniem zachwalała używane krzesła kuchenne. W tej samej chwili przybiegli dwaj zdyszani przyjaciele Jupe'a - Pete Crenshaw i Bob Andrews.

- Cześć, Pete - rzucił wuj Tytus. - Co słyhać, Bob? Dobrze, że jesteście, chłopaki. Pani Jones ma dla was robotę. Powie wam, o co chodzi, gdy skończy rozmawiać z klientami.

Nie czekając na odpowiedź, oddalił się w towarzystwie pana Barrona, który właśnie zamknął samochód. Mężczyzna robił wrażenie poirytowanego nie tyle zachowaniem Hansa, co uciążliwościami życia na tym padole.

- Ominęła was niezła zabawa - stwierdził Jupiter. - Mam nadzieję, że coś się jeszcze wydarzy.

- O czym ty mówisz?

- Trafił nam się chimeryczny klient. Na jego usprawiedliwienie można powiedzieć, że gdy nie wydziera się na ludzi, kupuje mnóstwo niezwykłych przedmiotów. - Jupe wskazał ręką awanturnika buszującego wśród staroci w głębi składowiska.

Państwo Jones prezentowali mu właśnie staromodną maszynę do szycia, która wciąż była na chodzie. Chłopcy obserwowali wuja Tytusa, który podniósł ciężki antyk i postawił obok innych rzeczy kupionych tego dnia przez kapryśnego nabywcę. Były tam dwa piecyki opalane drewnem, maselnica z uszkodzonym trzonkiem, stare krosna oraz gramofon na korbkę.

- Prawdziwa rupieciarnia! - mruknął Pete. - Po co im te starocie? Przerobią je na kompost?

- Może to kolekcjonerzy? - zastanawiał się Bob.

- Nie sądzę - odparł Jupe - chociaż niektóre z tych rzeczy mogą spokojnie uchodzić za antyki. Wydaje mi się, że Barronowie chcą na co dzień używać zakupionych przedmiotów. Ten facet dopytywał się, czy wszystko jest na chodzie. Maselnica ma wprawdzie złamany trzonek, ale można ją szybko naprawić. Piecyki są w bardzo dobrym stanie. Pan Barron zaglądał do środka i sprawdzał, czy ruszt jest cały. Kupił również wszystkie rury do piecyków, które mieliśmy na składzie.

- Idę o zakład, że ciotka Matylda jest w siódmym niebie - oznajmił Pete. - Nareszcie pozbyła się mnóstwa rupieci, na które nie spodziewała się znaleźć nabywców. Przy odrobinie szczęścia zyska dwoje stałych klientów.

- Ciotka jest bardzo zadowolona, ale wuj Tytus ma kwaśną minę - stwierdził Jupe. - Nie znosi pana Barrona. To gbur i złośnik. Przyjechał tu o ósmej rano, zastał bramę zamkniętą i natychmiast zaczął się awanturować. Wrzeszczał, że wstaje o świcie, a tymczasem inni zamiast pracować wylegują się do południa.

- Miał czelność powiedzieć coś takiego o ósmej rano? - zapytał z niedowierzaniem Bob.

Jupe skinął głową.

- Owszem. Pani Barron robi całkiem miłe wrażenie, ale jej mąż nieustannie

podejrzewa, że zostanie oszukany, albo wyrzeka na cudzą niekompetencję.

- Nazwisko Barron nie jest mi obce - mruknął zamyślony Bob. - Przed kilkoma tygodniami czytałem interesujący artykuł w "Los Angeles Times". Nie można wykluczyć, że mamy do czynienia z podobieństwem nazwisk, ale prawdopodobnie ten wasz klient jest milionerem i właścicielem rancza położonego na północ od miasteczka. Chce tam produkować żywność na własne potrzeby. Zamierza osiągnąć całkowitą samowystarczalność.

- Teraz rozumiem, po co mu stara maselnica - wtrącił Pete. - Postanowił sam wyrabiać masło, a poza tym... Uwaga, Jupe, Barron zbliża się do Kwatery Głównej!

Tak było w istocie! Charles buszował w głębi składowiska. Odrzucał stare deski zagradzające dostęp do zardzewiałego krzesła ogrodowego. Stał w pobliżu wzniesionej z najrozmaitszych rupieci barykady, która maskowała starą przyczepę kempingową. Mieściła się w niej Kwatera Główna założonej przez chłopców agencji detektywistycznej.

- Muszę go odciągnąć - rzucił Jupe, który wolał, by ciotka Matylda zapomniała raz na zawsze o istnieniu przyczepy. Wprawdzie po rozmowie z wujem Tytusem wspaniałomyślnie uznała, że chłopcy mogą tam przesiadywać w wolnych chwilach, ale nie miała pojęcia, że Trzej Detektywi bez porozumienia z nią założyli w przyczepie telefon, a poza tym urządzili małe lecz wydajne laboratorium oraz ciemnię fotograficzną. Wuj i ciotka Jupitera wiedzieli, że ich młodzi pomocnicy bawią się w detektywów, a nawet mają na tym polu spore osiągnięcia, ale nie zdawali sobie sprawy, jak poważnie trójka przyjaciół traktuje swoje hobby i na jakie niebezpieczeństwa czasami się naraża. Matylda Jones natychmiast położyłaby kres szalonym eskapadom. Była święcie przekonana, że dzieciaki trzeba mieć na oku i wynajdywać im bezpieczne zajęcia, takie jak naprawa staroci, które po remoncie mogą być sprzedane z zyskiem.

Jupiter zostawił przyjaciół na podjeździe i ruszył w głąb składowiska. Pan Barron popatrzył spode łba na intruza, ale Jupe udawał, że tego nie zauważa.

- Widzę, że jest pan miłośnikiem antyków - zagadnął. - Koło warsztatu wypatrzyłem metalową wannę na nóżkach przypominających lwie łapy i furgon, który wygląda na zeszlowieczny, ale jest całkiem nowy. Zamówiono go podczas kręcenia jakiegoś westernu. Prezentuje się doskonale.

- Nie potrzebuję wanny, ale fura może się przydać - stwierdził Barron.

- Całkiem o tym zapomniałem - dodał wuj Tytus. - Dzięki, Jupe. Masz głowę na karku.

Udało się chłopcu odciągnąć Barrona i jego żonę od Kwatery Głównej. Wkrótce powrócił do kolegów.

Gdy ciotka Matylda odprowadzała klientów do bramy, trójka detektywów stała jeszcze koło biura. Barronowie nie zdecydowali się na kupno furgonu. Wuj Tytus czekał na nich u wejścia, by dokończyć transakcję i omówić sposób dostarczenia zakupionych towarów.

- Nasze ranczo leży w odległości piętnastu kilometrów na północ od San Luis Obispo. Trzeba skręcić z autostrady w boczną drogę i jechać nią około sześciu kilometrów - oznajmił klient. - Mógłbym przysłać po rzeczy ciężarówkę, ale wolałbym tego nie robić. Moi ludzie i tak mają pełne ręce roboty. Gdyby się pan mógł podjąć dostarczenia piecyków i pozostałych sprzętów, gotów jestem zapłacić dodatkowo. - Zamilkł na chwilę, rzucił właścicielowi składu podejrzliwe spojrzenie i dodał ostrzegawczym tonem: - Ale przepłacać nie będę.

- Z pewnością nie zażądam więcej, niż warta jest usługa - odparł z naciskiem wuj Tytus. - Problem w tym, że bardzo rzadko dostarczamy zakupione towary klientom mieszkającym tak daleko jak pan.

Barrona zaczęła ogarniać irytacja.

- Chwileczkę, wujku - wtrącił Jupe. Bystre oczy w okrągłej twarzy wyglądały całkiem niewinnie pod strzechą ciemnych włosów. - Planowałeś mały rekonesans w przeznaczonym do rozbiórki osiedlu na północy, koło San Jose. Wiele przedmiotów stamtąd może się jeszcze nadawać do użytku. Po drodze podrzucimy panu Barronowi jego sprzęty. W ten sposób upieczemy dwie pieczenie przy jednym ogniu, a całe przedsięwzięcie wcale nie będzie kosztowne.

- Niesamowite! - wykrzyknął Barron. - Oto chłopak, który potrafi ruszyć głową! Chyba zacznę wierzyć w cuda.

- Mamy bardzo inteligentną młodzież - stwierdził chłodno wuj Tytus. - Pomysł jest niezły. Rzeczywiście ktoś powinien rzucić okiem na stare osiedle w San Jose. Problem w tym, że taka wyprawa potrwa ze dwa dni. Przez następny tydzień albo i dłużej nie mogę zostawić interesu.

- Chętnie cię wyręczymy - oznajmił skwapliwie Jupe. - Obiecałeś, że pozwolisz nam wkrótce samodzielnie dokonać zakupu staroci. Właśnie nadarza się okazja, żebyśmy pokazali, co potrafimy. - Jupe wymownym gestem wskazał kolegów i zapytał: - Jak wam się podoba taki pomysł? Macie ochotę na małą wycieczkę?

- Jasne - odparł Pete - o ile moi rodzice się zgodzą.

Bob tylko skinął głową.

- A więc postanowione! - stwierdził pospiesznie Jupe. - Hans lub Konrad poprowadzi ciężarówkę. Po drodze wpadniemy na ranczo pana Barrona i podrzucimy mu zakupione sprzęty.

Jupe odszedł, nim Charles Barron lub wujek Tytus zdążyli zaproponować inne rozwiązanie.

- Co ty knujesz? - zapytał Pete, gdy chłopcy odeszli na bezpieczną odległość i nikt z dorosłych nie mógł ich słyszeć. Usiedli w warsztacie, który Jupe urządził pod gołym niebem.

- Na ranczo z pewnością będziemy musieli rozładować ciężarówkę. To straszna harówka. Od kiedy stałeś się takim pracusiem?

Jupe oparł łokcie na stole i uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Po pierwsze: wuj Tytus rzeczywiście obiecał nam wyprawę po starocie, ale zawsze coś stawało na przeszkodzie.

- Owszem, na przykład dziwaczne straszdyło - wtrącił Bob, wspominając podróż, która ostatnio nie doszła do skutku, bo na polu kukurydzy pojawiła się tajemnicza i złowroga postać. Była to jedna z najbardziej przerażających zagadek wyjaśnionych przez Trzech Detektywów.

- Po drugie, uważam, że powinniśmy zniknąć stąd na kilka dni.

- Dlaczego? - dopytywał się zdziwiony Pete.

- Ciotka Matylda szykuje nam okropną robotę. Chce, żebyśmy oczyścili z rdzy i pomalowali kupione niedawno wyposażenie placu zabaw. To bezsensowna harówka. Korozja całkiem zżarła metalowe pręty. Próbowałem wytłumaczyć to ciotce, ale mi nie uwierzyła. Jest przekonana, że usiłuję wymigać się od ciężkiej pracy.

- Chyba ma rację - wpadł mu w słowo Bob.

- Nie przeczę - odparł samokrytycznie Jupe. - Tak czy inaczej, jeśli wyjedziemy, Hans lub Konrad weźmie się do tej roboty. Wkrótce ciotka Matylda sama zrozumie, że gra nie jest warta świeczki, a wtedy odda całe to żelastwo na złom.

- Jest również trzeci powód, dla którego chciałbym pojechać na północ - dodał Jupe po chwili namysłu. - Barronowie to dziwaczna para. Chciałbym zobaczyć ich posiadłość i przekonać się, czy naprawdę mogą być całkiem samowystarczalni. Warto by sprawdzić, czy kupują jedynie starocie, czy też posługują się oprócz tego nowoczesnymi urządzeniami. Dlaczego Barron tak łatwo wpada w złość? Czy pani Barron rzeczywiście czeka na bliskie spotkanie z kosmitami?

- O czym ty mówisz? - zdziwił się Pete.

- Podobno w odległej galaktyce na planecie Omega istnieje cywilizacja potężnych istot. Gdy Ziemi zagrozi straszliwy kataklizm, przybędą na ratunek i ocalą pewną grupę ludzi.

- Kpisz sobie ze mnie?

- Skądże - odparł pogodnie Jupe. Oczy mu zaślniły. - Kto wie? Może wielka katastrofa



nastąpi w czasie naszego pobytu na farmie Barronów i przypadkiem znajdziemy się w kosmicznym wehikule tajemniczych wybawców ludzkości? Podróż do odległych galaktyk to nie lada wyprawa!

## ROZDZIAŁ 2

### Twierdza

Następnego dnia koło południa Konrad, brat Hansa, usiadł za kierownicą większej z dwu ciężarówek należących do Jonesów, na którą załadowano sprzęty zakupione przez Barrona. Jupiter, Pete i Bob usadowili się wśród staroci.

- Odnalazłeś gazetę z artykułem o Barronie? - zwrócił się do Boba szef młodych detektywów, gdy ruszyli autostradą nad brzegiem oceanu.

Chłopiec skinął głową i wyciągnął z kieszeni kilka złożonych we czworo kartek papieru.

- Opublikowano go przed czterema tygodniami w dodatku finansowym do "Los Angeles Times" - odparł archiwista agencji detektywistycznej. - Poszedłem do biblioteki i zrobiłem kopię. - Chłopiec rozwinął arkusze i oznajmił: - Pełne imię i nazwisko tego faceta brzmi: Charles Emerson Barron. Ma forsy jak lodu. Jego ojciec był właścicielem firmy Barron International, która produkowała traktory i maszyny rolnicze. Można powiedzieć, że praktycznie miał na własność leżące koło Milwaukee miasto Barronsgate. Tam właśnie przyszedł na świat Charles. Niemal wszyscy mieszkańcy pracowali w istniejącej od wielu lat fabryce traktorów, a Barronowie trzymali ich w garści i robili z nimi, co chcieli.

Charles odziedziczył Barron International, gdy miał dwadzieścia trzy lata. Przez jakiś czas znakomicie sobie radził, ale potem robotnicy zaczęli strajkować. Domagali się krótszego dnia pracy i wyższych pensji. Pan Barron musiał ustąpić. Był tak wściekły, że sprzedał fabrykę traktorów i kupił zakłady produkujące opony. Po pewnym czasie władze stanowe nałożyły na niego wielkie kary z powodu zanieczyszczenia środowiska. Sprzedał przedsiębiorstwo i zainwestował w przemysł fotograficzny. Tym razem podpadł rządowi federalnemu, bo przyjmując nowych pracowników kierował się rozmaitymi uprzedzeniami. Niezależnie od tego, czy był właścicielem gazet, stacji radiowych czy banków, ciągle miał problemy z administracją stanową, rządem, związkami zawodowymi i wymiarem sprawiedliwości. W końcu sprzedał wszystkie przedsiębiorstwa i przeniósł się na ranczo położone w dolinie na północ od San Luis Obispo. Mieszka w domu, w którym się urodził...

- Mówiłeś, że pochodzi z okolic Milwaukee - wtrącił Pete.

- Owszem. Ale kazał przenieść rodzinny dom do Kalifornii. Dla bogacza nie ma rzeczy niemożliwych, a pan Barron ma forsy jak lodu. Zawsze potrafił korzystnie sprzedać swoje przedsiębiorstwa. Z powodu bezprzykładnej chciwości i sprytu nazywano go

krwiopijcą.

- To zrozumiałe - dodał Jupiter. - Postępował tak samo jak twórcy wilczego kapitalizmu w dziewiętnastym wieku. Czy przychodzi ci do głowy lepsze przezwisko?

- Tak. Można go nazwać największym ponurakiem wszech czasów - odparł Bob. - Ciągłe peroruje, że próżniacy opanują wkrótce cały świat, ludzie będą unikać wszelkiego wysiłku, a pieniądź straci wartość. Zachowa ją tylko ziemia i złoto. Dlatego postanowił kupić ranczo Valverde. Twierdzi, że spędzi tam resztę życia zajmując się rolnictwem i eksperymentując z nowymi uprawami.

Bob złożył kartki i schował je do kieszeni. Przez jakiś czas chłopcy milczeli. Ciężarówka pędziła autostradą, mijając pola oraz niewielkie miasteczka. Na horyzoncie pojawiły się wzgórza porośnięte zrudziałą od słońca trawą.

Dochodziła trzecia, gdy Konrad skręcił z nadmorskiej autostrady w boczną dwupasmową drogę biegnącą po wschodnim zboczu stromego wzniesienia. Wkrótce opadła w niezbyt szeroką dolinę. Wokół było zupełnie pusto: ani domów, ani samochodów.

- Co za zmiana! Przed chwilą jechaliśmy przez cywilizowany kraj, a teraz jesteśmy w dzikiej okolicy - zauważył Pete.

- To naprawdę istne pustkowienie - przytaknął Jupe. - Przed wyjazdem z Rocky Beach zerknąłem na mapę. Najbliższe miasteczko to San Joaquin Valley.

Silnik wył, gdy ciężarówka wspinała się na kolejne wzgórza. Potem zjeżdżali po stromych zboczach krętymi serpentynami. Chłopcy ujrzeli z góry rozległą dolinę w kształcie misy leżącą u podnóża gór. Jej dno było zupełnie płaskie, a zewsząd otaczały ją urwiste zbocza. Droga biegła zakosami. Chłopcy mieli wrażenie, że kręcą się w kółko. Silnik kaszłał i rzęził, w końcu jednak zjechali w dolinę i ruszyli prosto przed siebie. Po prawej stronie krzewiły się dzikie zarośla, a po lewej widok zasłaniał wysoki drewniany płot, zza którego wystawały gałęzie oleandrów tworzących gęsty żywopłot. Przez szpary widzieli niekiedy skrawek uprawnego pola i dorodne rośliny posadzone w równych rzędach.

- To na pewno ranczo Valverde - oznajmił Bob.

Konrad przejechał ponad milę, nim zwolnił i skręcił w lewo. Ciężarówka minęła otwartą bramę. Droga wysypana żwirem wiodła w kierunku północnym, wśród pól i cytrusowych sadów.

Jupe wstał i oparł się o dach szoferki. Ujrzał eukaliptusowe zarośla, a w ich cieniu jakieś budki. Na prawo od drogi wznosił się stary piętrowy dom stojący frontem ku południowi. Po prawej stronie ujrzeli zwrócony w tym samym kierunku staromodny budynek o spadzistym dachu, który z wyglądu bardziej przypominał obszerną podmiejską rezydencję

niż wiejski dom. Przyciągały oko misternie rzeźbione detale stolarki, a także smukłe kolumnienki werandy biegnącej wzdłuż frontu i pozostałych ścian.

- To jest chyba dom rodzinny Barrona, przeniesiony z Milwaukee - stwierdził Bob.

Jupe przytaknął skinieniem głowy. Minęli oba budynki i wjechali między domki, przed którymi kręciły się ciemnookie, czarnowłose dzieci. Maluchy przerwały na chwilę zabawy, aby im pomachać. W pobliżu nie było widać ani jednej dorosłej osoby. Żwirowana aleja doprowadziła podróżnych do obszernego podwórka, gdzie ujrzeli kilku pracowników farmy. Pod ścianami szop i stodoła równym rzędem stały traktory i ciężarówki. Gdy Konrad zahamował, w drzwiach jednego z budynków pojawił się rudowłosy mężczyzna o spalonej słońcem, ogorzałej twarzy. Trzymał w ręku plik dokumentów. Natychmiast podszedł do Konrada.

- Jesteście ze składu staroci i złomu Jonesa? - zapytał.

Jupe zeskoczył z ciężarówki.

- Nazywam się Jupiter Jones - oznajmił z powagą i ruchem dłoni wskazał kierowcę. - Oto Konrad Schmid oraz moi przyjaciele, Pete Crenshaw i Bob Andrews.

- Jestem Hank Detweiler - odpowiedział mężczyzna. - Zarządzam farmą pana Barrona.

- Doskonale się składa - odparł Konrad. - Proszę nam powiedzieć, gdzie możemy rozładować ciężarówkę.

- Nie musicie tego robić - stwierdził Detweiler. - Nasi ludzie się tym zajmą.

W tej samej chwili z szopy wyszło trzech mężczyzn, którzy wzięli się do zdejmowania z ciężarówki zakupionych sprzętów. Mieli czarne oczy i włosy - tak samo jak dzieci bawiące się przed chatami. Niekiedy mówili coś cicho po hiszpańsku. Hank Detweiler sprawdził w dokumentach, czy dostarczono wszystkie zakupione przedmioty. Miał wielkie, silne ręce o krótko obciętych kwadratowych paznokciach. Skóra na jego twarzy przybrała szkarłatny odcień, jakby spierzchła od wiatru i słońca. Na skroniach i w kącikach ust widać było drobne zmarszczki.

- Słucham - rzucił nagle mężczyzna, spoglądając badawczo na Jupitera. - Zamierzałeś mnie chyba o coś zapytać.

- Ciekaw jestem, jak się panu spodoba moje rozumowanie. Dedukcja i odkrywanie prawdy o ludziach na podstawie rozmaitych przesłanek to moje hobby - odparł z uśmiechem Pierwszy Detektyw, patrząc na skalne urwiska otaczające ranczo z trzech stron. Dolina wydawała się prawdziwą oazą spokoju i ciszy skąpaną w ciepłych promieniach popołudniowego słońca. - Ma pan ogorzałą od wiatru twarz, z czego wnoszę, że jest pan tu od

niedawna. Do tej pory musiał pan spędzać dużo czasu w miejscach, gdzie porządnie wieje, a temperatura jest wysoka.

- Bardzo słusznie - przytaknął Detweiler. Oczy mu posmutniały. - Masz rację. Byłem zarządcą na ranchu niedaleko Austin w stanie Teksas. Pan Barron przybył tam niedawno i zaproponował mi pracę. Warunki były doskonałe, więc ją przyjąłem, ale bywa, że czuję się tu jak w klatce. Brak mi wielkich przestrzeni.

Detweiler położył trzymane w ręku kartki na masce auta zaparkowanego przed szopą.

- Przyjechaliście taki kawał drogi z Rocky Beach, żeby pomóc w rozładowaniu ciężarówki? - zapytał. - To bardzo uprzejmie z waszej strony, chłopcy. Nie wiem, czy będąc w waszym wieku podjąłbym się takiej roboty. Chcecie zwiedzić rancho?

Jupiter energicznie pokiwał głową, a Detweiler uśmiechnął się szeroko.

- Świetnie - dodał. - Skoro nie macie nic innego do roboty, oprowadzę was po farmie. To bardzo ciekawe miejsce. Nie przypomina zwykłych gospodarstw rolnych.

Zarządca ruszył z chłopcami w stronę szopy, gdzie złożono sprzęty przywiezione ze składu Jonesa. Konrad i jego młodzi pomocnicy ujrzeli magazyn wypełniony aż po belki stropowe najrozmaitszymi przedmiotami. Były tam części zamienne do różnych maszyn, skórzane derki, bele tkanin i mnóstwo innych różności.

Obok magazynu stał mniejszy budynek, w którym mieścił się warsztat. Goście zostali przedstawieni Johnowi Alemanowi, młodemu mężczyźnie z zadartym nosem.

- John jest mechanikiem, pilnuje, żeby wszystkie maszyny były na chodzie - oznajmił Detweiler. - Właściwie nie powinien się tym zajmować. Jego powołaniem jest projektowanie wielkich instalacji do upraw na skalę przemysłową, a także systemów irygacyjnych.

- Trudno byłoby znaleźć taką robotę człowiekowi, który skończył edukację w połowie szkoły średniej - odparł pogodnie Aleman.

W budynku stojącym obok warsztatu znajdował się magazyn żywności. Dalej była obora dla krów - pusta o tej porze.

- Mamy rasowe bydło mleczne - oznajmił zarządca. - Jest teraz na pastwisku, które znajduje się w północnej części, niedaleko tamy. Hodujmy również bydło na ubój, a także owce, świnię i kury. Oczywiście mamy także konie.

Detweiler zaprowadził gości do stajni. Zastali tam młodą dziewczynę Mary Sedlack, która stała w końskiej przegrodzie i z niepokojem oglądała kopyto dorodnego ogiera.

- Mary dba o zdrowie naszych zwierzków - wyjaśnił zarządca. - Pilnuje też, by mnożyły się jak trzeba.

- Nie podchodźcie bliżej - ostrzegła Mary. - Asphodel staje się agresywny, gdy wokół

niego gromadzi się zbyt wiele osób.

- Ten koń jest wyjątkowo narowisty - dodał Hank Detweiler. - Mary to jedyna osoba, której obecność toleruje.

Zaprowadził gości na parking, gdzie stało niewielkie auto osobowe. Wsiedli i wolno ruszyli piaszczystą drogą wśród pól, wiodącą ku północy. Wkrótce budynki gospodarcze zostały daleko za nimi.

- Na farmie pracuje czterdziestu siedmiu robotników - wyjaśnił zarządca. - Do tego dochodzą ich rodziny oraz fachowcy zatrudnieni przez pana Barrona, na przykład Mary i John. Kilka osób odpowiada za poszczególne działy. Ja nadzoruję całość. Za chwilę poznaacie Rafaela Banalesa.

Detweiler pomachał ręką szczupłemu niewysokiemu mężczyźnie, który stał na skraju pola. Kilku pracowników sadziło tam jakieś rośliny.

- Rafael nadzoruje prace polowe. Zna się na nowoczesnych metodach uprawiania ziemi. Skończył rolnictwo na Uniwersytecie Kalifornijskim w Davis.

Detweiler zaprowadził gości do małego pomieszczenia, gdzie John Aleman zamontował baterie słoneczne. Pokazał im także łagodny stok leżący pod wschodnim urwiskiem, gdzie pasło się bydło. Minęli zagony marchwi, sałaty, dyni oraz papryki. Dalej rozciągała się bujna łąka. Na przeciwległym jej końcu ujrzeli cementową tamę.

- Mamy sztuczne jezioro - wyjaśnił zarządca Konradowi i chłopcom. - Zbiornik utworzony dzięki tamie jest zasilany wodą z górskiego strumienia płynącego po urwisku. Nie korzystamy z tego źródła, ale jesteśmy przygotowani na rozmaite niespodzianki. Obecnie czerpiemy wodę ze studni głębinowych. W razie potrzeby sami będziemy wytwarzać prąd niezbędny do uruchomienia pomp elektrycznych. John zbudował silniki na olej napędowy. Są tak skonstruowane, że w razie braku zwykłego paliwa mogą pracować na węgiel i drewno.

Detweiler zawrócił i podjechał do tajemniczych budek ustawionych w cieniu eukaliptusów.

- To są ule. Pszczoły wytwarzają doskonały miód. Można go używać zamiast cukru - wyjaśnił zarządca. - Mamy również wędzarnię. Szynki i bekon smakują znakomicie. Paliwo przechowujemy w podziemnych zbiornikach, a ziemniaki oraz inne warzywa w specjalnych piwnicach. Są też magazyny z przetworami, które po zbiorach przygotowuje Elsie i kobiety zatrudnione w kuchni.

- Kim jest Elsie? - wtrącił Jupiter.

- To bardzo ważna osoba - odparł z uśmiechem Detweiler. - Gotuje dla Johna, Rafaela, Mary i dla mnie... a także dla Barronów. Mam nadzieję, że przed wyjazdem zdążycie

wstąpić do starego wiejskiego domu. Elsie z pewnością poczęstuje was zimnymi napojami.

Detweiler zaparkował samochód przed magazynem staroci i poprowadził Konrada oraz chłopców w stronę wiekowego domostwa.

Elsie Spratt była pogodną kobietą po trzydziestce. Miała jasne krótkie włosy i szeroki przyjazny uśmiech. Krzątała się zwawo po kuchni pachnącej smakowitymi potrawami. Gdy Hank Detweiler przedstawił jej gości, natychmiast przygotowała mężczyznom kawę, a dla chłopców wyjęła z lodówki puszki z zimnymi napojami.

- Pijcie, dopóki można - rzuciła wesoło. - Gdy nadejdzie rewolucja, nikt nie będzie sobie zawracał głowy produkowaniem napojów gazowanych.

- O jakiej rewolucji pani mówi? - wypytywał zdziwiony Konrad, siadając przy długim stole obok Detweilera. - W Ameryce wszystko odbywa się w inny sposób. Jeżeli nie podoba się nam obecny prezydent, możemy na kolejną kadencję wybrać innego.

- Racja, ale powiedzmy, że dojdzie do poważnego kryzysu politycznego i system się załamie? Co wówczas?

Konrad był wyraźnie zbity z tropu. Jupe rozglądał się w milczeniu. Spostrzegł staromodną kuchnię węglową ustawioną tuż obok gazowej.

- Przewidujecie wielki kryzys i załamanie systemu? - powtórzył. Jesteście przygotowani na najgorsze, prawda? To ranczo przypomina twierdzę. Z takim wyposażeniem i zapasami możecie przetrzymać każde oblężenie. Farma Barronów wydaje mi się podobna do średniowiecznego zamczyska.

- Słuszna uwaga - odparł Detweiler. - Musimy zachować czujność na wypadek, gdyby nastąpiła wielka katastrofa albo gwałtowna zmiana dotychczasowego sposobu życia.

Elsie nalala sobie filiżankę kawy. Gdy sięgnęła po łyżeczkę do cukru, Jupe spostrzegł, że mały palec prawej ręki ma lekko zniekształcony. Była na nim wyraźna narośl.

- Nie sądzę, żeby nasze przygotowania miały na celu uniknięcie skutków zwykłego przewrotu politycznego - perorowała kucharka. - chodzi o to, co nastąpi, gdy zamachowcy wywloką prezydenta na trawnik przed Białym Domem i strzelą mu w łeb. Pan Barron obawia się kataklizmu na światową skalę, po którym może dojść do klęski głodu, plądrowania dobytku, całkowitego zamętu i rozlewu krwi. Rozumiecie, w czym rzecz? Szef jest przekonany, że świat zejdzie w końcu na psy. Tylko przezorność stanowi gwarancję przetrwania.

- Zdaniem pana Barrona jedyne pewne lokaty kapitału to ziemia i złoto, prawda? - wtrącił Jupiter. - Chyba oczekuje całkowitego załamania obecnego systemu monetarnego.

- Naprawdę używasz na co dzień takich skomplikowanych określeń? - powiedziała z

niedowierzaniem Elsie, gapiąc się na chłopca okrągłymi ze dziwienia oczyma.

- Jupe lubi się wyrażać w sposób zawily i wyszukany. Proste określenia go nie bawią - zachichotał Pete.

- Sądźcie, że czeka nas wielka katastrofa? - Jupe wypytywał Elsie i Detweilera, nie zwracając uwagi na kpiny przyjaciela.

- Nie sądzę, żeby nam to groziło w najbliższym czasie - odparła kucharka, wzruszając ramionami.

Moim zdaniem jedynie pan Barron wierzy w realność tej groźby - dodał zarządca. - Jest pesymistą, bo jego zdaniem władze bez potrzeby wtrącają się w prywatne sprawy obywateli, a próżniacy w ogóle nie garną się do pracy, skoro nie muszą zarabiać na chleb, bo i tak dostaną zapomogi. Powtarza, że prędzej czy później nasze pieniądze stracą wartość...

- Cicho! - syknęła Elsie.

Położyła rękę na ramieniu Detweilera i znacząco popatrzyła na oszklone drzwi, za którymi stała pani Barron.

- Nie przeszkadzam? - zapytała uprzejmie.

- Proszę wejść - Elsie poderwała się z miejsca. - Właśnie pijemy kawę. Może się pani do nas przyłączy?

- Nie, dziękuję. - Pani Barron weszła do kuchni i uśmiechnęła się do chłopców. - Widziałam, jak tu przyjechaliście, i przyszło mi do głowy, że moglibyśmy zjeść razem obiad.

- Jupe, minęła piąta - wtrącił Konrad, marszcząc brwi. - Czas jechać.

- Możemy dzisiaj wcześniej sięść do stołu, prawda? - pani Barron zwróciła się do Elsie.

- Chyba tak - kucharka wydawała się nieco zbита z tropu.

- Doskonale! - Pani Barron uśmiechnęła się ponownie. Jupe spojrzał niepewnie na kolegów.

- To fajny pomysł - uznał Pete.

- Niech się pan nie martwi - uspokajał Konrada Bob. - Wkrótce ruszymy do San Jose.

- A więc postanowione - stwierdziła pani Ernestyna Barron. - Siądziemy do stołu o wpół do szóstej.

Wyszła z kuchni i wbiegła na schody prowadzące na werandę sąsiedniego domu.

- Nie podoba mi się ten pomysł - mamrotał Konrad. - Moim zdaniem powinniśmy zaraz jechać.

- To będzie niewielkie opóźnienie, Konradzie - przekonywał Jupe. - Godzina czy dwie nie czyni wielkiej różnicy.



Jupiter zwykle się nie mylił, a jego przewidywania zazwyczaj się sprawdzały, tym razem jednak popełnił niewybaczalny błąd.

## ROZDZIAŁ 3

### Blokada

Pani Barron bardzo lubi przebywać w towarzystwie chłopców - oznajmił Hank Detweiler. - Przypominają jej czasy, kiedy jej dwaj adoptowani synowie, którzy są już dorośli, byli jeszcze w domu. Dziś już się usamodzielnili. Jeden występuje z grupą rockową jako perkusista, drugi mieszka w Big Sur, wyrabia drewniane chodaki i sprzedaje turystom. Jest również poetą.

- O rany! - mruknął Pete. - Co na to pan Barron?

- Bardzo go irytuje ta sytuacja - wtrąciła Elsie Spratt. - Posłujcie mojej rady, chłopcy, i w czasie obiadu bądźcie mili dla pani Barron, uważajcie na jej męża. Ależ z niego przyjemniaczek... całkiem jak grzechotnik rozzłoszczony podczas burzy.

- Nie idę z wami - mruknął ponuro Konrad. - Wolę poczekać tutaj. - Zerknął na Elsie i zapytał: - Mogę zostać?

- Oczywiście - powiedziała kucharka. - Spokojnie zje pan obiad, a chłopcy niech się męczą w jadalni.

Jupiter, Pete i Bob opuścili kuchnię wiejskiego domu, przecięli zwirowaną aleję i zapukali do stojącej po drugiej stronie rezydencji. Pani Barron otworzyła im drzwi i zaprowadziła do salonu urządzonego bardzo tradycyjnie, solidnymi meblami. Krzesła i fotele pokrywał gruby aksamit.

Pan Barron perorował z ożywieniem, manipulując przełącznikami telewizora.

- Ani wizji, ani fonii! - marudził, z roztargnieniem ściskając ręce młodocianych gości. - Chodźcie do szkoły, prawda? Uczycie się, jak należy? A może tylko marnujecie czas?

Nim chłopcy zdążyli odpowiedzieć, w drzwiach stanęła meksykańska służąca i oznajmiła, że podano do stołu. Pan Barron podsunął ramię małżonce i ruszył do jadalni. Trójka gości pospieszyła za gospodarzami.

Dania przyniesione z kuchni przez Meksykankę były znakomite. Jupe jadł bez pośpiechu, przysłuchując się tyradzie pana Barrona na temat zagrożenia, jakie stanowią dla ludzkości tworzywa sztuczne. Wkrótce chłopiec dowiedział się, że milioner nie znosi imitacji skóry ani włókien syntetycznych udających wełnę. Następnie pan Barron wygłosił ostrą filipikę przeciwko specjalistom od dezynsekcji, którzy nie znają się w ogóle na zwyczajach owadów i nie umieją odróżnić groźnego termita od zwykłej mrówki. Dostało się również mechanikom samochodowym, którzy nie potrafią usunąć najprostszej usterki.

Pani Barron spokojnie wysłuchiwała niecierpliwych wywodów zirytowanego małżonka. Gdy skończył, zaczęła z uśmiechem opowiadać o literackich próbach syna mieszkającego w Big Sur.

- Same bzdury! - mruknął pan Barron. - W jego wierszach nie ma żadnych rymów! Świat naprawdę schodzi na psy. Poezja obywa się bez rymów, dzieciaki nie okazują szacunku rodzicom...

- Charles, kochanie, okruszek został ci na brodzie - przerwała mu żona.

Pan Barron otarł twarz serwetką, a uprzejma gospodyni zaczęła opowiadać o drugim synu, który był perkusistą w zespole rockowym.

- Odwiedzi nas w sierpniu podczas zjazdu - dodała z uśmiechem.

Jej mąż zakrztusił się i poczerwieniał na twarzy.

- Banda głupców! - burknął.

- Jaki to zjazd? - zapytał nieśmiało Pete.

- Doroczne spotkanie Stowarzyszenia Obserwatorów Błękitnej Światłości odbędzie się tu w sierpniu. - Pani Barron uśmiechnęła się do Jupitera. - Wiesz dużo na ten temat. Czytaliśmy te same książki. Wielu członków stowarzyszenia przeżyło bliskie spotkanie trzeciego stopnia z kosmitami z planety Omega. Chętnie o tym opowiadają. Wszystko wskazuje na to, że odwiedzi nas w tym roku sam Vladimir Contreras. Wygłosi cykl wykładów.

- Na poprzednim zjeździe Stowarzyszenia Obserwatorów Błękitnej Światłości w stanie Iowa pojawił się facet, który był przekonany, że Ziemia jest wydrążoną kulą, a pod jej powierzchnią kwitnie wyższa cywilizacja - wtrącił pan Barron, rozsiadając się wygodnie na krześle. - Była tam wróżka, która przepowiadała przyszłość, obserwując namagnetyzowane igły pływające po powierzchni wody, a także pryszczaty młodzieniec, który do znużenia medytował, powtarzając świętą sylabę om! Miałem ochotę mu przyłożyć.

- Pan był na tym zjeździe? - dopytywał się Pete.

- Musiałem! - burknął właściciel farmy. - Moja żona jest wspaniałą kobietą, ale bywa łatwowierna. Ci pomyleńcy owinęliby ją sobie wokół palca. Gdy Ernestyna się uprze, nawet mnie trudno jej przemówić do rozumu. Musiałem się zgodzić, żeby w tym roku zaprosiła tę bandę wariatów na nasze ranczo.

- Spodziewam się mnóstwa gości - wtrąciła z ożywieniem pani Barron - Coraz więcej osób interesuje się kosmitami. Ci ludzie mają świadomość, że jesteśmy przez nich pilnie obserwowani.

- Owszem, nie przeczę, że są tacy, którzy patrzą nam na ręce, ale moimi udaniem to

przede wszystkim anarchiści i przestępcy dążący do zdobycia władzy nad światem - wpadł jej w słowo pan Barron. - Proszę bardzo, niech spróbują! Ze mną nie pójdzie im tak łatwo.

- Pale spojrział błagalnie na Jupitera, który zrozumiał, o co chodzi, i zaraz wstał.

- Dziękujemy za wspaiały obiad - powiedział - ale musimy jechać. Konrad chciałby jak najszybciej dotrzeć do San Jose.

- Rozumiem - odparła pani Barron. - W takim razie nie będziemy was dłużej zatrzymywać.

Odprowadziła chłopców do frontowych drzwi i patrzyła za nimi, gdy się oddalali.

- Jak się udała wizyta w rezydencji? - wypytywała Elsie Spratt, gdy weszli do kuchni wiejskiego domu.

- Doświadczenie ciekawe - odparł Bob - lecz niezbyt przyjemne. Miała pani rację.

- A nie mówiłam? Ten facet przypomina rozzłoszczonego grzechotnika podczas burzy.

Konrad skończył obiad i włożył brudne naczynia do zlewu. Wkrótce cała czwórka siedziała już w ciężarówce. Detweiler wyszedł na ganek wiejskiego domu, by pomachać gościom na pożegnanie.

- Mili ludzie - stwierdził Bob.

- Z wyjątkiem pana Barrona - wtrącił Pete. - Co za gbur!

Ciężarówka jechała zwirową aleją. Gdy minęli bramę znajdującą się w odległości mniej więcej mili od budynków farmy, Konrad niespodziewanie zwolnił, a potem zatrzymał auto. Pasażerowie usłyszeli trzask otwieranych drzwi szoferki.

- Jupe? - rozległ się głos kierowcy.

Chłopiec zeskoczył z ciężarowej skrzyni, a przyjaciele natychmiast poszli w jego ślady. Ujrzeni człowieka stojącego na drodze i blokującego przejazd. Miał na sobie wojskowy mundur i pas z nabojami przewieszony przez pierś. Hełm był zapięty pod brodą. Z ramienia żołnierza zwisał karabin gotowy do strzału.

- Bardzo mi przykro - oznajmił. - Nie ma przejazdu.

- Co się stało? - zapytał Jupiter.

- Nie wiem - odparł wojskowy. Głos mu drżał jakby ze strachu. - Otrzymałem rozkaz, żeby nikogo nie przepuszczać. Droga jest zamknięta dla ruchu.

Poprawił wiszący na ramieniu karabin, chcąc dyskretnie przypomnieć rozmówcom, że ma broń. Automat wyśliznął mu się z rąk i poleciał na ziemię.

- Ostrożnie! - wrzasnął Pete.

Żołnierz w ostatniej chwili złapał broń, która wypaliła z hukiem!

## ROZDZIAŁ 4

### Agresja

Łoskot wystrzału odbił się echem w dolinie. Ośłupiały żołnierz spoglądał na swoją broń. Był blady jak ściana. Wytrzeszczył zdumione oczy.

- Ten karabin jest nabity! - krzyknął zirytowany Konrad.

- Oczywiście - przytaknął szeregowiec drżącym głosem. - Dziś rano otrzymaliśmy ostrą amunicję.

Mocniej ścisnął broń, jakby się obawiał, że znowu upadnie na ziemię i wypali. Chłopcy usłyszeli daleki warkot silnika. Wkrótce na drodze pojawił wojskowy dżip. Zahamował z piskiem opon tuż obok młodego żołnierza.

- Stanford, co tu się dzieje? - krzyknął oficer siedzący obok kierowcy. Popatrzył na szeregowca, a następnie obrzucił badawczym spojrzeniem Konrada i chłopców.

- Melduję posłusznie, panie poruczniku, że karabin sam wypalił - bronił się żołnierz.

- Stanford, jeśli nie potraficie obchodzić się z bronią, to po co się pchacie do wojska?

Oficer wyskoczył z auta i podszedł do Konrada. Chłopcy spostrzegli, że jest bardzo młody. Był w tym samym wieku co jego wystraszony podkomendny. Miał na sobie nowiutki połowy uniform i hełm. Oficerki błyszczały jak lustro.

- Porucznik John Ferrante - przedstawił się uprzejmie. Zasalutował podnosząc do daszka czapki dłoń w brązowej rękawiczce; ramię natychmiast opadło. Jupe odniósł wrażenie, że oficer nadrabia miną. Przypominał aktora, który gra w filmie wojennym i za wszelką cenę stara się wypaść przekonująco.

- Dlaczego nie możemy przejechać? - dopytywał się Konrad. - Musimy być dziś wieczorem w San Jose. Nie mamy czasu na zabawę w manewry wojskowe.

- Bardzo mi przykro, ale to nie są manewry - odparł stanowczo Ferrante. - Mój oddział został dziś wezwany z Camp Roberts. Polecono mi wstrzymać ruch na tej drodze. To jedyne bezpośrednie połączenie między San Joaquin Valley i wybrzeżem. Musi być dostępna dla pojazdów wojskowych.

- Nie zamierzamy jej wcale blokować - zirytował się Jupe. - Chcemy tylko dotrzeć do szosy numer 101 i dalej do San Jose.

- Tamta droga jest również zamknięta dla ruchu - odparł porucznik.

- Proszę zawrócić i ruszać tam, skąd przybyliście. Cywile nie powinni nam przeszkadzać w pełnieniu służby.

Oficer położył dłoń na kaburze pistoletu. Chłopcy zamarli ze zgrozy.

- Rozkazano mi nikogo nie przepuszczać - powtórzył Ferrante. - Mamy chronić okoliczną ludność.

- Chronić? - zirytował się Konrad. - Grożąc pistoletem?

- Przykro mi - odparł porucznik. - Nie mogę was przepuścić. Jeśli zapytacie dlaczego, nie będę w stanie udzielić odpowiedzi, bo sam nie mam pojęcia, o co tu chodzi. Proszę nie utrudniać nam służby i spokojnie odjechać.

- Pan Barron nie uwierzy, gdy mu o tym opowiemy - wtrącił Jupiter. - Miałem na myśli Charlesa Emersona Barrona, znanego przemysłowca. Będzie wściekły, gdy się dowie, jak potraktowano jego gości. Kto wie, czy nie zdecyduje się na interwencję w Waszyngtonie. Ma spore wpływy.

- Nie mogę nic na to poradzić - tłumaczył się wystraszony porucznik. - Droga jest zamknięta.

Na szosę wyszło kilku żołnierzy w polowych mundurach. Podeszli bliżej i stanęli za młodym szeregowcem, który zatrzymał ciężarówkę. Wszyscy byli uzbrojeni w karabiny. Sprawiali wrażenie gotowych na wszystko.

- Trudno! Zawracamy! - rzucił pospiesznie Konrad. - Jupe, coś tu nie gra. Jedziemy na ranczo. Wyjaśnimy panu Barronowi, co się stało.

- Doskonale! - rzucił z ulgą porucznik. - Słuszna decyzja. Mam pomysł... pojedę za wami dżipem i porozmawiam z tym przemysłowcem. Szczerze mówiąc po raz pierwszy słyszę jego nazwisko. Nie miejcie do nas pretensji. Trzeba sobie jakoś radzić. My tylko wypełniamy rozkazy przełożonych.

Porucznik wszedł do auta. Chłopcy wdrapali się na ciężarówkę,

- Idiocyzm! - mruknął Pete, gdy Konrad zawrócił i ruszył z powrotem żwirową aleją.

- Owszem - przytaknął Jupiter.

Ciężarówka eskortowana przez wojskowy pojazd zmierzała w stronę rezydencji Barronów.

- Gdy w południe opuszczaliśmy Rocky Beach, nie było żadnych niepokojących wiadomości - mruknął Jupe. - Co się mogło stać?

- Mam wrażenie - wtrącił Pete - że ten porucznik wygląda na mocno przestraszonego. Coś go wytrąciło z równowagi.

Konrad zaparkował na drodze w pobliżu wiejskiego domu. Dżip przystali za ciężarówką. Porucznik wysiadł i rozejrzał się wokół.

- Kto tu jest szefem? - rzucił głośno, ale widać było wyraźnie, że nadrabia miną.

Z budynku wyszedł Hank Detweiler. Za nim szły Elsie Spratt i Mary Sedlack. Rafael Banales stał w drzwiach kuchni i obserwował przybyszów.

- Jestem zarządcą farmy - powiedział Detweiler. - Słucham, co chodzi?

Tylne drzwi rezydencji otworzyły się z trzaskiem. Charles Barron i jego żona wyszli na werandę.

- Co się stało?

- Droga jest zablokowana. Nie możemy przejechać - wyjaśnił Jupiter, spoglądając wymownie na oficera.

- Moja droga? - Barron zwrócił się do porucznika. - Zablokowana?

Jupe przyglądał się oficerowi. Z rozbawieniem stwierdził, że młody człowiek nie wytrzymał badawczego spojrzenia Barrona. Pot wystąpił oficerowi mi czoło. Charles Emerson umiał wzbudzać respekt. Jupiter od początku tak przypuszczał.

- Pozwolę sobie zauważyć, proszę pana - odparł porucznik - że to nie jest p... p... pańska droga!

Jupe uśmiechnął się ukradkiem. Rozmówcy pana Barrona nie tylko pocili się jak myszy, lecz także zapominali języka w gębie.

- Pańska też nie! - wrzasnął Barron. - Jak pan śmie zamykać drogę? Nie wolno jej panu blokować! Każdy może nią jeździć do woli.

- Tak jest, proszę pana! - odparł porucznik. - To zwykła szosa prowadząca do San Joaquin, a... ale...

- Niech pan przestanie bełkotać, na miłość boską! - ryknął Barron. - Proszę nie udawać idioty!

- Otrzymaliśmy wyraźne rozkazy - wydukał nareszcie porucznik. - Przyszły dziś po południu. Z Waszyngtonu. Coś dziwnego dzieje się w T... t...

- Poruczniku, tracę cierpliwość! - ryknął Barron.

- W Teksasie - pisnął oficer i powtórzył głośniejszym głosem: - Coś dziwnego dzieje się w Teksasie. - Odetchnął głęboko, zdjął hełm i przegarnął ciemne włosy dłonią ukrytą w rękawiczce. - Nie ma dokładnych informacji, lecz o ile mi wiadomo wszystkie główne drogi są zablokowane. Ruch został wstrzymany.

- Niewiarygodne! - zawołał Barron.

- Tak, proszę pana - przytaknął skwapliwie oficer.

- Będę interweniował w Waszyngtonie - zapowiedział przemysłowiec.

- Rozumiem, proszę pana - rzekł oficer.

- Zadzwoń do prezydenta - oznajmił jego rozmówca, - W tej chwili!

Barron odwrócił się na pięcie i popędził do domu. Okna były szeroko otwarte i wszyscy widzieli, jak dopada telefonu i wybiera numer. Przez chwilę panowała cisza. W końcu właściciel farmy rzucił słuchawkę na widełki.

- Cholera jasna! - wrzasnął,

Wpadł na werandę i zbiegł po schodach, tupiąc głośno.

- Ten piekielny telefon nie działa! - zawołał. - Na pewno linia jest zerwana!

- Nie, proszę pana - wtrącił porucznik Ferrante. - Sądzę, że przyczyna jest inna.

- Co pan ma na myśli? - wypytywał Barron. - Wie pan coś na ten temat?

- Niewiele, proszę pana - odparł Ferrante. - Stwierdzono, że wszystkie telefony w okolicy przestały działać. Radia także zamilkły. Rozkazy przychodzą z Waszyngtonu telegraficznie,

- Telefony i radia nie działają? - powtórzył z niedowierzaniem Charles Barron.

Wolno zapadał zmierzch. Pracownicy farmy coraz liczniej zbierali się w pobliżu rezydencji. Sprawiali wrażenie zaniepokojonych,

- Ten facet mówi prawdę - odezwał się jeden z mężczyzn. - Radio nie działa.

- Nie mogliśmy złapać żadnego programu telewizyjnego - dodał inny. - Brak obrazu i dźwięku, tylko jakieś plamy i trzaski. Przed chwilą wysiadła elektryczność.

- Telewizja nie działa? - powtórzył Barron trochę z obawą, a trochę z tryumfem.

- Co to jest? Jakiś film grozy? - burknęła zniecierpliwiona Elsie Spratt. - Dlaczego wojsko miałoby blokować drogi? To bez sensu! Co było w telegramie z Waszyngtonu? Proszę go nam zacytować, poruczniku! Co się dzieje w Teksasie?

- Nie mam żadnych informacji, proszę pani - odparł porucznik. - Ja tylko wykonuję...

- Jasne! Pan tylko wykonuje rozkazy! - burknęła Elsie.

Odwróciła się na pięcie, głośno tupiąc weszła po schodach wiejskiego domu i wkroczyła do kuchni. Przez otwarte okno widać było, jak manipuluje gałkami tranzystorowego radia. Niemal od razu rozległa się głośna muzyka.

- Proszę bardzo! - zawołała Elsie. - Podobno radia nie działają, co?

- Chwileczkę! - wpadł jej w słowo Jupe. - Przecież to...

- Marsz wojskowy! - dokończył pan Barron. - Orkiestra marynarki wojennej gra go przed każdym przemówieniem prezydenta!

Muzyka ucichła. Po chwili ktoś odchrząknął.

- Obywatele - rozległ się głos spikera. - Za chwilę orędzie do narodu wygłosi prezydent Stanów Zjednoczonych.

Pani Barron przytuliła się do męża, który objął ją ramieniem.



- Rodacy - dobiegł znajomy głos. - Wczesnym popołudniem otrzymałem informację o wylądowaniu nie zidentyfikowanych obiektów latających na obszarze Teksasu, Nowego Meksyku oraz na kalifornijskim wybrzeżu. Wedle nie potwierdzonych doniesień przed godziną kolejne lądowania miały miejsce w Fort Worth, Dallas, Taos i San Francisco. Powtarzam, że nie otrzymaliśmy jeszcze pełnych danych.

Zapewniam, że nie ma powodu do paniki. Wprawdzie na zachodzie kraju doszło do chwilowego przerwania łączności, ale prowadzimy intensywne konsultacje z Kremlem oraz innymi stolicami europejskimi i południowoamerykańskimi dla wyjaśnienia tych anomalii. Współpraca z rządami wielkich mocarstw przebiega harmonijnie, a zatem nie ma powodu do obaw...

- Już to mówiłeś, głupku! - ryknął Barron.

- Wszystkie oddziały naszej armii postawione zostały w stan pełnej gotowości - kontynuował prezydent. - Zwracam się z prośbą do wszystkich obywateli o ściśle współdziałanie z armią oraz instytucjami rządowymi. Pozostańcie w domach, by nie blokować strategicznych dróg, którymi będą się przemieszczać jednostki wojskowe. Skontaktujcie się z lokalnymi oddziałami obrony cywilnej...

Rozległ się głośny szum. Radio Elsie zamilkło.

- Co za dureń! - pieklił się Charles Barron. - Cholerny półgłówek! I taka miernota została wybrana prezydentem! Gadał przez dziesięć minut, a mimo to nadal nic nie wiadomo! Zupełnie nic!

- Panie Barron, jedno wynika jasno i wyraźnie z tego przemówienia - odezwał się Hank Detweiler, który sprawiał wrażenie całkiem oszołomionego. - Padliśmy ofiarą zbrojnej agresji! Ktoś najechał kilka stanów, blokując wszelkie systemy łączności! Jesteśmy... zdani na własne siły! Nie mamy żadnej możliwości zdobycia wiadomości o sytuacji w kraju!

## ROZDZIAŁ 5

### Precz z mojej ziemi!

- To robota komunistów i anarchistów! - ryknął Charles Barron. - Co za bzdury! Nie wierzę w latające talerze! Buntownicy opanowali stacje radiowe! Taka jest prawda! Próbuja nas zastraszyć i skłonić do rezygnacji z oporu. Zapewne uwięzili prezydenta albo...

Barron umilkł. Na jego twarzy pojawił się wyraz ostatecznej determinacji.

- Jadę do miasta - oznajmił tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Zamierzam dotrzeć aż do Camp Roberts. Muszę znaleźć człowieka, który wie, co się dzieje. Nic mnie nie powstrzyma!

- Otrzymałem wyraźne rozkazy - wtrącił rzeczowo porucznik. - Żadnych prywatnych aut na d... drogach.

Ferrante wyprostował się i odzyskał pewność siebie. Po chwili dodał zdecydowanie:

- Będę zobowiązany, jeżeli zechce pan zostać na ranczu do odwołania. Polecono mi dopilnować, by droga do San Joaquin Valley była przejezdna dla jednostek wojskowych. Mam również pilnować, by pracownicy rancza Valverde nie ucierpieli, a zasoby pozostały nietknięte.

- Czy ja dobrze słyszę? - wtrąciła z niedowierzaniem Elsie, która przed chwilą wyszła z kuchni. - Ma pan nas pilnować? Dlaczego? Kto nam zagraża? Co tam się dzieje, poruczniku?

Kucharka wskazała ręką urwisko. Najwyraźniej miała na myśli szeroki świat, który rozciągał się wokół spokojnej doliny.

- Czy obecna sytuacja może wpłynąć na dalsze losy farmy? - dodała kobieta.

- Ja... nie umiem pani odpowiedzieć na to pytanie - odparł Ferrante.

- Jakie rozkazy otrzymał pan od zwierzchników, poruczniku? Proszę nam powiedzieć całą prawdę - nie dawał za wygraną Charles Barron.

Oficer milczał.

- Mów, człowieku! - krzyknął właściciel farmy. - Co przełożeni kazali panu zrobić?

Wojskowy milczał uparcie.

- Wcale nie chodzi o swobodny przejazd dla jednostek wojskowych, prawda? - rzucił domyślnie Barron. - Są przecież dziesiątki dróg o większym znaczeniu strategicznym. Pańskim zwierzchnikom z Camp Roberts chodzi o ranczo Valverde, zgadłem? Dlaczego tak im zależy na naszym bezpieczeństwie? Czemu jesteśmy dla nich tacy ważni? Na pewno

chodzi o zgromadzone tu zasoby!

- To bardzo możliwe, szefie - wtrąciła Elsie Spratt. - Nie ma w okolicy miejsca, które byłoby tak całkowicie samowystarczalne jak nasza farma. Można tu żyć latami bez pomocy z zewnątrz.

- Jasne! - wrzasnął Barron. - A więc o to chodzi!

- O czym ty mówisz, Charles? - zapytała jego żona.

- Przewidziałem to! - perorował właściciel farmy. - Wiedziałem, że tak będzie! Cała ta gadanina o latających spodkach to zwykle mydlenie oczu, które miało uspić naszą czujność. Muszą nas tu zatrzymać, by zapewnić tej bandzie waśniaków bezpieczne schronienie. Upatrzyli sobie moją dolinę!

- Panie Barron, muszę przyznać, te nie rozumiem... - wtrącił Hank Detweiler, ale szef nie pozwolił mu dokończyć.

- A co tu jest do rozumienia? Prosta sprawa. Być może zaatakowało nas jedno z wrogich mocarstw; jest w czym wybierać. Drugi scenariusz, który przychodzi mi do głowy, to przewrót dokonany w samym Waszyngtonie, rozszerzający się na cały kraj. Ostatnio pojawiły się nowe odłamy związków zawodowych. Ciekaw jestem, w jakim celu ci ludzie się zrzeszają! Moim zdaniem z ich działalności nic dobrego nie wyniknie dla kraju. Wystarczy, że w każdym mieście zbierze się grupa oddanych bojowników, by mogli zawiązać groźny spisek i z dnia na dzień obalić legalne władze!

- Mieli na to zaledwie pół dnia - wtrącił spokojnie Jupe. - Gdy wczesnym popołudniem opuszczaliśmy Rocky Beach, wszystko było w porządku.

- Sytuacja się zmieniła - odparł Barron. - Kraj jest o krok od katastrofy, a ten idiota, który nazywa siebie prezydentem, nie ma pojęcia, jak temu zaradzić. Jedynym wyjściem jest dla niego ucieczka! Szuka miejsca, gdzie mógłby spokojnie przeczekać burzę...

- Panie Barron - jęknęła rozpaczliwie Eli - Jeśli on tu przyjedzie z całą gromadą ważnych osobistości, nie poradzę sobie z gotowaniem! Miałam przygotowywać posiłki dla pana i dla pracowników zarządzających farmą. Kuchnia jest za mała, by mogło się u nas stołować tyle osób, a poza tym...

- Nie martw się, Elsie. Nikt cię nie zmusi, żebyś harowała w kuchni dla tej bandy darmozjadów ze Wschodniego Wybrzeża - uspokoił ją chlebodawca. - Ciężko pracowałem, by przygotować to schronienie na wypadek, gdyby naszą cywilizację dotknął niebezpieczny kryzys. Mam prawo żyć tu spokojnie, nie zawracając sobie głowy losem wysokich urzędników państwowych, niezależnie od ich rangi!

Barron popatrzył groźnie na porucznika Ferrante'a.

- Niech się pan wynosi z mojej ziemi - rzucił twardo. - Mamy tu karabiny. Zamierzam wystawić uzbrojone posterunki wzdłuż granic farmy. Będziemy strzelać do intruzów. Zrozumiał pan, co powiedziałem?

- Tak jest - odparł pospiesznie oficer. Wsiadł do dżipa i polecił kierowcy: - Jedziemy! Szybko! Gaz do dechy!

Po chwili auto pomknęło aleją.

- Hank - rzucił pan Barron - wybierz dziesięciu godnych zaufania ludzi, którzy potrafią obchodzić się z bronią. Przyślij ich do mnie. Trzeba patrolować granice posiadłości i wystawić straż przy bramie.

- Charles, czy to ma sens? - szepnęła pani Barron. - Gdyby prezydent zdecydował się tu schronić, na pewno przyleci helikopterem. Wartownik na drodze go nie zatrzyma.

- Nie zawracaj mi głowy drobiazgami, Ernestyno - odparł zniecierpliwiony mężczyzna. - Przecież ty się w ogóle nie znasz na takich sprawach!

Barron wbiegł po schodach, przystanął i zerknął na trójkę młodocianych detektywów.

- Możecie tu zostać, chłopcy - oznajmił. - Padliście ofiarą niefortunnego zbiegu okoliczności. Nie pozwolę, żebyście tułali się po drodze, na której jakiś znerwicowany poruczniczyna może was... Wiecie, do czego oni są zdolni. Elsie, dasz radę wykarmić cztery dodatkowe osoby?

- Oczywiście, proszę pana - odparła kucharka.

- I bardzo dobrze - mruknął jej szef i zniknął w drzwiach domu.

Jupiter, Pete, Bob i Konrad stali obok ciężarówki, patrząc na Hanka Detweilera, który wywoływał po nazwisku wybranych pracowników farmy. Mężczyźni wchodzili kolejno po schodach rezydencji.

Gdy pojawili się znowu na werandzie, każdy z nich miał w rękach karabin i zapas amunicji. Ruszyli aleją ku bramie i ogrodzeniu.

Pozostali mieszkańcy zaczęli się rozchodzić. Także Hank Detweiler opuścił dom chlebobawcy, jedynie Konrad i chłopcy pozostali na podjeździe.

- Nie mam pojęcia, o co tu chodzi - mruknął zarządca - ale jestem przekonany, że wkrótce sprawa się wyjaśni. Jutro na pewno będziecie mogli wyjechać.

Ruszył w stronę wiejskiego domu. Okna rozjaśnił migotliwy blask lamp naftowych. Po chwili Konrad oznajmił chłopcom, że musi odpocząć, i zostawił ich samych.

- Co o tym myślisz? - zagadnął Jupitera Bob.

- Sam nie wiem - przyznał Juve. - Gdy wyjeżdżaliśmy z Rocky Beach, wszystko było w porządku. Minęło zaledwie kilka godzin i okazało się, że nie ma prądu, radio nie działa, a

telefony ogłuchły. Prezydent wygłasza orędzie, w którym stwierdza, że latająca spodki wylądowały w kilku rejonach kraju, a żołnierze patrolują drogi, po których zakazano jeździć cywilom.

- Nie możemy stąd wyjechać, ale spróbujmy się wymknąć ukradkiem - stwierdził Pete. - Gdybyśmy zrobili mały wypad za ogrodzenie...

Chłopiec niespodziewanie umilkł. Po chwili dodał:

- Proszę, proszę, zacznym mówić tak, jakbyśmy przebywali w twierdzy oblężonej przez wrogów. Można by pomyśleć, że jedynie w tej warownej fortecy jesteśmy bezpieczni.

- Nie byłbym tego taki pewny - mruknął Jupe. - W jednym się z tobą zgadzam. Powinniśmy odbyć wycieczkę do najbliższego miasta. Tu niczego się nie dowiemy. Być może naprawdę mamy do czynienia z najazdem. Trzeba zdobyć więcej informacji.

- Pamiętaj, że pan Barron kazał pilnować bramy. Czy strażnicy nas wypuszczą? - zastanawiał się Bob.

- Nie będziemy ich pytać o zdanie - stwierdził Jupe. - Nie pierwszy raz przyjdzie nam zmylić czujność wartowników. Damy sobie radę.

- A co z żołnierzami? - zapytał niespokojnie Pete.

- Musimy się trzymać z dala od nich - oznajmił Jupe. - Przypuszczam, że będą pilnować bramy.

- Mnie to odpowiada - stwierdził Bob. - Trzeba coś zrobić. Wszystko jest lepsze od poczucia bezsilności i czekania na katastrofę.

- W takim razie idziemy - odparł Jupe. - To bardzo dziwna sytuacja. Muszę wiedzieć, co się za tym kryje!

## ROZDZIAŁ 6

### Światłość nad urwiskiem

Trzej Detektywi cicho maszerowali skrajem alei. Było ciemno.

- Nic nie widzę - marudził Pete. - Egipskie ciemności!

- Wkrótce zrobi się jaśniej - zapewnił Jupe.

Ledwie to powiedział, zza urwiska wyłonił się księżyc. Srebrzysta poświata spłynęła w dolinę. Żwirowana aleja przybrała rozmaite odcienie szarości i bieli. Drzewka pomarańczowe rosnące po jednej stronie drogi rzucały na ziemię głęboki cień.

- Kryj się! - rzucił Jupe zduszonym szeptem, uskakując w głąb pomarańczowego gaju. Chłopcy maszerowali cicho w stronę południowej granicy posiadłości, do płotu otaczającego farmę.

Minęło piętnaście minut, nim ujrzeli ogrodzenie, jasnoszare w świetle księżycy widocznego nad wierzchołkami oleandrów. Podeszli do żywopłotu, przystanęli w jego cieniu i rozejrzeli się ostrożnie. Przez szpary zobaczyli drogę biegnącą wzdłuż ogrodzenia i dzikie zarośla po drugiej stronie. Milczeli czekając, co się wydarzy.

Przez kilka minut droga była zupełnie pusta. Nagle ukazały się światła nadjeżdżającego powoli auta. To był wojskowy dżip z zamontowanym na dachu reflektorem. Gdy smuga światła przesunęła się po żywopłocie, chłopcy przypadli do ziemi, by patrol nie odkrył ich obecności. Promień oświetlił dzikie zarośla po drugiej stronie szosy.

Gdy wojskowe auto odjechało, ze szczytu urwiska na zachód od bramy ktoś zaświecił latarką. Promień wolno pełził wzdłuż granic farmy.

- Ktoś z góry obserwuje bramę - stwierdził Bob.

- Zapewne to ludzie Barrona - westchnął Jupiter.

- Mogą nas zauważyć, gdy będziemy przechodzić przez ogrodzenie - zmartwił się Pete. - Przy bramie jest strażnik. Widać go dobrze z tego miejsca.

Wojskowy samochód zawrócił i ponownie minął wjazd na ranczo. Zatrzymał się niedaleko kryjówki młodocianych detektywów. Promień latarki obserwatora czuwającego na szczycie urwiska znowu przebił nocną ciemność, oświetlając żołnierzy jadących dżipem. Było ich trzech. Jeden zdjął z ramienia broń i sprawdził, czy jest naładowana. Po chwili auto odjechało. Chłopcy patrzyli, jak wspina się na niewysoki pagórek i znika za jego grzbietem.

- Dlaczego tak się obawiamy, że wartownicy zatrzymają nas przy bramie? - zauważył Bob. - Co ich to obchodzi, że chcemy stąd wyjść? Przecież Barronowi zależy jedynie na tym,

by nie zjawili się tu nieproszeni goście.

- Masz rację - przyznał Jupiter. - Problem w tym, że gdy zobaczą nas strażnicy Barrona, z pewnością narobią hałasu, a to przyciągnie uwagę żołnierzy i nie będziemy mogli wymknąć się niepostrzeżenie.

- A co im szkodzi piesi? - obruszył się Bob. - Trzej chłopcy maszerujący drogą nie utrudnią przejazdu jednostek wojskowych.

- Odnoszę wrażenie, że porucznikowi niezupełnie chodzi o ruchy wojsk. Jego zadaniem jest blokada farmy. Ma pilnować, żeby nikt się stąd nie wymknął.

- Mówisz jak Barron! - stwierdził Pete. - Niedawno utrzymywałeś, że ten facet ma nie po kolei w głowie.

- I nadal tak sędzę, lecz zarazem odnoszę wrażenie, że w tej sprawie wyczuł pismo nosem - odparł Jupe. - Porucznik Ferrante o wiele bardziej interesuje się farmą niż szosą. Nie chce, żeby ktokolwiek opuścił to miejsce. Gdyby udało nam się przebiec na drugą stronę drogi i ukryć w zaroślach, mielibyśmy szansę umknąć z tej pułapki.

- Popukaj się w czoło! - rzucił z irytacją Pete. - Wprawdzie do autostrady jest stąd zaledwie kilka mil, ale trzeba iść przez gęste zarośla. Ja odpadam! W nieznanym terenie, po ciemku na pewno zrobimy sobie krzywdę!

- Masz sporo racji - przytaknął Jupe - ale sytuacja wcale nie jest beznadziejna. Przed wyjazdem z Rocky Beach rzuciłem okiem na mapę. W pobliżu biegnie jeszcze jedna droga. Trzeba iść na północ od rancza. Jeśli wdrapiemy się na urwisko, dotrzemy tam bez trudu.

Pete odwrócił głowę i popatrzył na strome zbocza ułożone w olbrzymią podkowę. Księżyc stał już wysoko. Górski masyw wyglądał ponuro i groźnie w jego widmowym blasku. Tam, gdzie urwisko przecinały wąwozy i jary, panowała głęboka ciemność.

- Zgadzam się - oznajmił Pete. - Możemy spróbować, byle nie dziś, Jupe. Potrzebujemy latarek. Urwisko jest strome, a światło księżyca zbyt marne na taką wyprawę. Po ciemku łatwo skrócić kark.

- Oczywiście - przyznał Jupiter. - Zgoda. Wracamy na ranczo. Spróbujemy o świcie.

Ruszyli skrajem cytrusowego sadu w stronę wiejskiego domu. Maszerowali teraz o wiele szybciej. Drogę oświetlał im księżycowy blask. Widzieli z daleka jasne okna budynków. Wyszli na drogę w odległości mniej więcej stu jardów od rezydencji Barronów.

- Jupe? - rzucił pytająco Konrad, który ukazał się niespodziewanie za jej rogiem. - Jupe, czy to ty? Pete? Bob?

- To my, Konradzie - odparł Jupiter.

- Dlaczego nie weszliście do domu? - marudził kierowca. - Gdzie się włóczycie?

Szukałem was.

Niespodziewanie otworzyły się drzwi rezydencji. Charles Barron wyszedł na werandę.

- Kto się tam kręci? - zawołał.

- To my, proszę pana - odparł Pete.

Nagle ujrzał oślepiająco jasną, błękitną łunę za plecami stojącego tyłem do gór Konrada.

- Jupe! - krzyknął Pete. - Patrz!

Północną część urwiska rozświetlił osobliwy niebieski blask! Budzące grozę niebieskie płomienie strzelały w niebo niczym zamrożone ognie piekielne.

- Co tam się dzieje, do diabła? - wrzasnął Charles Barron.

Światłość rozgorzała jeszcze mocniej. W oślepiającym blasku urwisko stało się prawie niewidoczne. Z ziemi uniosły się kłęby białego dymu i spowiły sztuczne jezioro.

Trzasnęły drzwi. Rozległ się tupot kroków na drodze. Zewsząd dochodziły przerażone głosy. Nagle z migotliwej gęstej mgły wyłonił się owalny kształt. Przez chwilę wisiał nad urwiskiem, połyskując srebrzyście w błękitnym świetle, a potem unióśł się w górę. Sunął coraz wyżej, aż pochłonęła go ciemnogrnatowa otchłań nieba.

Światłość z wolna przygasiała. Wkrótce zrobiło się ciemno. Na farmie panowała martwa cisza. Wszyscy osłupieli ze strachu.

- O rany! - krzyknął nagle Pete. - Latający talerz!



## ROZDZIAŁ 7

### Niewinna ofiara

- Co za historia! - mruknął Charles Barron.

Nikt się nie odezwał.

Z wielkiego domu wybiegła pani Barron.

- Charles! - wołała niecierpliwie. - Widziałeś?

- Nie jestem ślepy - mruknął jej mąż. - Nie mam pojęcia, co to było, ale przyjrzałem się temu dokładnie. Hank! Rafael! John!

Właściciel farmy wskazał ręką północne urwisko.

- Idziemy tam. Trzeba sprawdzić, co zaszło, do jasnej cholery! - krzyknął.

Jupe usłyszał ryk silnika dochodzący od strony drogi. Odwrócił się i ujrzał wojskowego dzipa pędzącego aleją. Samochód z piskiem opon zahamował przed wiejskim domem.

- Gdzie jest pan Barron? - krzyknął porucznik Ferrante, wyskakując z auta. Podbiegł do przemysłowca. - Czy nikt nie ucierpiał? Co tu się dzieje? Widziałem ogień!

- Jeśli wydarzy się coś, co może pana zainteresować, na pewno przekazemy wiadomość - burknął właściciel farmy. - A tymczasem proszę stąd odjechać. To jest teren prywatny.

- Charles! - zawołała oburzona pani Barron. - Zachowujesz się jak grubianin!

- Nie mam innego wyjścia, Ernestyno - odparł jej mąż. - Czekam, poruczniku.

Ferrante bez słowa wsiadł do auta. Kierowca wrzucił wsteczny bieg. Samochód oddalił się od grupy ludzi zebranych na podjeździe, zakręcił i z pełną szybkością odjechał w stronę bramy.

- Pablito! - rzucił Barron, zwracając się do szczupłego ośmiolatka.

- Słucham - odparł skwapliwie chłopiec.

- Biegnij do ojca i powiedz mu, żeby strażnicy pilnujący bramy strzelali w opony, jeśli żołnierze spróbują znowu wjechać na moją ziemię.

- Pablito nie będzie przekazywał takich wiadomości - przerwała mu jakaś kobieta. - Skoro musi pan wydawać tego rodzaju polecenia, pójdę sama.

- Charles, nie sądzę, żeby to wszystko było konieczne - przekonywała męża pani Barron. - Ten biedny porucznik jest taki młody. Robi po prostu, co do niego należy.

- Wtargnął na teren prywatny. Nie będę tolerował intruzów, niezależnie od ich wieku,

rangi i rządowych koneksji - rzucił twardo Charles Barron. - Musimy być konsekwentni, bo w przeciwnym razie zaroi się tu od włóczęgów i darmozjadów.

Barron zwrócił się ponownie do zarządcy.

- Hank, zabieramy tylko Rafaela i Johna. Chcę jak najszybciej dotrzeć na łąkę ponad tamą i sprawdzić, co tam się wydarzyło, do jasnej cholery.

- Tak jest, panie Barron - odparł krótko Detweiler. Był zbity z tropu i zarazem bardzo całą sytuacją zaciekawiony, lecz nie zdradzał oznak paniki.

- Chyba powinniśmy wziąć broń - stwierdził jego szef. Wyjął z kieszeni pęk kluczy i podał je Banalesowi, który stał w drzwiach. - Wiesz, gdzie leżą strzelby. Przynieś cztery i sprawdź, czy są nabite.

- Charles, nie zamierzasz chyba strzelać do ludzi? - upewniła się jego żona.

- Jasne, że nie zamierzam, chyba że to się okaże konieczne - odparł pan Barron.

Nikt nie zwracał uwagi na trzech chłopców. Jupe pociągnął za rękaw Pete'a i skinął na Boba. Oddalili się niepostrzeżenie od gromady stojących na podjeździe mieszkańców posiadłości. Stanęli w cieniu między dwiema chatami.

- Jeśli chcemy wiedzieć, co się wydarzyło na wzgórzu, musimy tam dotrzeć przed Barronem i jego ludźmi - oznajmił Jupe. - Nasz gospodarz na pewno zechce utrzymać pewne fakty w tajemnicy.

- Weź pod uwagę, że przybędą oni tam uzbrojeni - przypomniał zaniepokojony Pete.

- Barron obiecał żonie, że nie będzie strzelał do ludzi - odparł Jupe, trochę naciągając fakty. Ruszył biegiem w stronę aut zaparkowanych przed szopami.

- Jupe! - rzucił błagalnie Pete, deptając mu po piętach. - Nie zapominaj o latającym spodku! W pobliżu tamy mogą się włóczyć kosmici!

- To jeszcze jeden powód, żeby tam iść.

Pete jęknął rozpaczliwie, ale nie odstępował kolegi na krok.

Wśród zabudowań gospodarskich panowały gęste ciemności. Na polach rozciągających się za nimi chłopcy poruszali się szybciej i pewniej. W świetle księżyca widzieli odległą tamę. Gdy przybyli na skraj pastwiska położonego między polami uprawnymi a jeziorem, natknęli się na stado owiec skubiących trawę. Niektóre zaczęły beczeć, gdy chłopcy torowali sobie drogę. Pete w pierwszej chwili aż podskoczył ze strachu, ale szedł dalej, nie zważając na nic. Wkrótce wszyscy trzej wspinali się ku tamie ścieżką biegnącą u podnóżu urwiska.

Gdy po południu zwiedzali posiadłość Barronów, Hank Detweiler wspomniał o łące położonej nad tamą, ale im jej nie pokazał. Twierdził, że dolina, w której znajdowało się

ranczo Valverde, była kiedyś dużym jeziorem. Przed tysiącami lat, w wyniku potężnych ruchów tektonicznych, powstał wielki uskoki, a północna część doliny wypiętrzyła się i obecnie górowała nad równiną, tworząc spory płaskowyż, którego część zalały spiętrzone wody sztucznego jeziora. Resztę zajmowała łąka ciągnąca się od brzegu zbiornika wodnego aż do skalistego urwiska.

Chłopcy przeszli szczytem tamy, a potem ruszyli dalej ścieżką prowadzącą wzdłuż jeziora. Pete niespokojnie zerkał na boki. Czy w pobliżu czaili się kosmici? Do tej pory nikogo nie spostrzegł. Błękitna światłość nad górami całkiem przygasła. W blasku księżycy chłopcy widzieli jedynie nagie skały i ciemny, srebrzący się w nocnej poświacie dywan trawy rozciągnięty między brzegiem jeziora a skalną ścianą.

- Szkoda, że nie wzięliśmy latarek - mruknął Bob. Szedł przodem po sięgającej kolan trawie. Nagle potknął się i omal nie upadł.

- Ostrożnie! - rzucił ostrzegawczo Jupe. Bob cofnął się natychmiast.

- Jupe! Pete! - zawołał. - Patrzcie! Tu coś leży!

Chłopcy natychmiast do niego podbiegli i przyklękli na murawie.

- O rany! - wrzasnął Pete. - Ktoś tu jest! Żyje?

- Tak. Oddycha - stwierdził Jupe, pochylając się nad nieznajomym.

Od strony tamy dobiegły ich nawoływania i stukot kamieni. Nadchodził Charles Barron ze swymi ludźmi.

Jupe z trudem odwrócił bezwładne ciało. Mężczyzna leżał teraz na plecach. W świetle księżycy chłopcy ujrzeli jego bladą twarz. Oczy były zamknięte, a usta lekko rozchylone. Nieprzytomny człowiek oddychał szybko i płytko.

Detektywi poczuli nieprzyjemny zapach spalenizny.

- Ej, wy! - usłyszeli głos Charlesa Barrona. - Ani kroku! Najmniejszy ruch i jesteście martwi!

Oślepieni blaskiem latarek chłopcy nerwowo mrugali powiekami.

- Proszę, proszę, to dzieciaki ze składu złomu - mruknął przemysłowiec.

- Proszę pana, ten człowiek jest ranny - zawołał Jupiter.

Barron i Hank Detweiler podbiegli do nieprzytomnego mężczyzny.

- De Luca! - wykrzyknął Barron. - To Simon de Luca!

Detweiler ukląkł i oświetlił twarz pasterza. Ostrożnie dotknął jego głowy.

- Ma potężnego guza za uchem - oznajmił zarządca. - To niesamowite. Włosy są... nadpalone!

Ranny człowiek powoli odzyskiwał przytomność i próbował się podnieść.

- Leż spokojnie, Simonie - uspokajał go Detweiler. - Jesteś , bezpieczny.

Pasterz otworzył oczy i popatrzył na zarządcę.

- Co tu się wydarzyło? - zapytał Detweiler.

De Luca pokręcił głową i zamrugał powiekami.

- Przewróciłem się? - rzucił niepewnie. Nagle zawołał, tocząc wokół niespokojnym spojrzeniem: - Owce! Gdzie jest stado?

- Skubie trawę na łące poniżej tamy - uspokoił go zarządca.

- Nic z tego nie rozumiem - mruknął de Luca. podnosząc się wolno. - Szedłem przypilnować owiec. Minąłem tamę. Wszystko było, jak trzeba, - Popatrzył na Detweilera wzrokiem pełnym niepokoju. - Byłem na tamtej łące. Niczego nie pamiętam. Jak się tu dostałem? Przynieśliście mnie?

- Nie, Simonie - odparł Hank. - Ci chłopcy cię znaleźli. Czy cokolwiek pamiętasz? Może niebieskie światło? Dym? Coś niezwykłego?

- Nie - odparł de Luca. Rękoma dotknął obolałej głowy i wyczuł pod palcami nadpaloną czuprynę. - Co się stało z moimi włosami?

- Poszły z dymem, Simonie - mruknął Detweiler i zachichotał nerwowo.

Banales ukląkł obok rannego mężczyzny i zagadał do niego po hiszpańsku. Pozostali rozbiegli się, by przeszukać łąkę. W świetle latarek ujrzeli ciemne plamy wypalone w gęstej trawie; żdźbła sprawiały wrażenie osmalonych silnym płomieniem. Ciemne smugi znaczyły urwisko tam, gdzie przedtem jaśniała błękitna światłość. Nie znaleziono innych śladów - z wyjątkiem dziwnego przedmiotu, na który Detweiler natknął się u podnóża góry. Niewielki ten przedmiot wykonany był z połyskliwego metalu. Na środku znajdowało się ruchome spojenie, a po obu stronach rzędy kolców lub wypustek.

- Dziwna rzecz - mruknął zarządca. - John, co o tym sądzisz?

John Aleman wziął do ręki tajemniczy przedmiot.

- Czy ja wiem... - odparł. - To mi wygląda na fragment jakiegoś urządzenia.

- Latającego? - odpowiedział Detweiler.

- Chyba tak. Ten metal... wygląda na stop, ale nie potrafię określić jego składu. Nie przypomina stali. Może to być cyna z ołowiem. Obie części są ruchome, a kolce zachodzą na siebie. Zapewne mamy do czynienia z rodzajem przekładni, ale do tej pory nie widziałem czegoś podobnego.

Barron powiódł wzrokiem po łące i skraju urwiska.

- Ten przedmiot niczego ci nie przypomina? - upewnił się. John pokręcił głową.

Zapadła cisza. Wszystkim stanęła przed oczyma niebieskawa poświata ponad skalną

ścianą, kłęby dymu i osobliwy pojazd startujący z łąki. De Luca dotykał nadpalonej czupryny. Miał dziwny wyraz twarzy.

- Ktoś tu był - dodał cicho Aleman z ponurą miną. - Nieproszeni goście poturbowali Simona, a potem się wynieśli. Skąd się wzięli? Dokąd się udali? Kim byli?

Nikt nie umiał odpowiedzieć na te pytania. Z odległych wzgórz dobiegło wycie kojota. Pete zadrzał, słysząc jęklive zawodzenie. Nie mógł zapomnieć o latającym talerzu. Wyobrażał sobie kosmitów spacerujących po łące. Czyżby istotnie przybysze z obcej planety upatrzyli tu sobie kryjówkę?

## ROZDZIAŁ 8

### Napaść!

Sprowadzono na łąkę niewielką ciężarówkę, którą został odwieziony Simon de Luca. Pracownicy farmy zanieśli rannego do jednej z chat stojących wzdłuż alei. Mary Sedlack oraz pani Barron zbadały pechowca. Sprawdziły jego podstawowe reakcje, przy pomocy niewielkiej latarki zajrzały w oczy. Wkrótce uznały, że następstwem uderzenia była tylko płytka rana i lekki wstrząs pourazowy.

- Pani Barron znakomicie dała sobie radę - powiedział Bob do Elsie Spratt, gdy trójka detektywów powróciła do kuchni wiejskiego domu.

Zdenerwowana kobieta machinalnie pocierała zdeformowany palec.

- Jest dyplomowaną pielęgniarką - odparła. - Co tydzień jeździ do szpitala w miasteczku i przez cały dzień pracuje tam za darmo. Wielka szkoda, że poślubiła tego starego zrzędę. Byłaby z niej wspaniała siostrzyczka miłosierdzia.

Chłopcy usłyszeli warkot silnika. Jupe wstał i podszedł do otwartych drzwi. Przed kilkoma minutami pan Barron pofatygował się osobiście do bramy, żeby zawiadomić porucznika o ataku na pasterza i zażądać natychmiastowego przekazania tej informacji dowódcom w Camp Roberts. Wrócił bardzo szybko. Pani Barron wybiegła mu naprzeciw. Rozmawiali stojąc na podjeździe.

- Mów zaraz - rzuciła niecierpliwie kobieta. - Co się stało?

- Ten smarkacz w oficerskim mundurze ma wprawdzie polowy telefon, ale przekłete urządzenie rzecz jasna nie działa, jak wszystko w okolicy - złościł się milioner.

- Nic dziwnego - oznajmiła pogodnie pani Barron. - Gdy statek kosmitów znajduje się w atmosferze, następują poważne zakłócenia pola elektrycznego.

- Ernestyno, przestań się mądrzyć! Co ty wiesz o elektryczności? - zawołał Barron, nie kryjąc irytacji.

- Niewiele - przyznała jego żona. - To i owo jednak rozumiem. Gdy zjawiają się statki naszych gości z kosmosu, wszystko nagle wysiada... radia, telefony, samochody!

- Nasze auto jest na chodzie - rzucił tryumfalnie pan Barron.

- Anomalie nie osiągnęły jeszcze maksymalnego poziomu - stwierdziła rezolutnie pani Ernestyna. - Gdy kosmici powrócą, zakłócenia przybiorą na sile.

- Ciekawe, kiedy to nastąpi? - odparł zaczepnie pan Barron.

- Zostaniemy o tym powiadomieni - rzuciła na odchodnym jego żona, wspięła się po

schodach i zniknęła w drzwiach rezydencji.

Barron pospieszył za panią Ernestyną, mamrocząc coś pod nosem.

- Ale mu pokazała! - Elsie Spratt, stojąca w drzwiach wiejskiego domu, powiedziała to z nie ukrywaną satysfakcją. Podeszła do kuchennego stołu i usiadła na krześle. - Ten stary złośnik, którego miała nieszczęście poślubić, nawet świętego wyprowadziłby z równowagi. Gdy pani Barron mówi, że coś jest czarne, on z czystej przekory oświadcza, że to białe. Dzisiaj nareszcie okazało się, że jej jest na wierzchu. Od dawna zapowiadała, że pewnego dnia zjawi się tu latający talerz kosmitów. Barron obawiał się jedynie komunistów, urzędników państwowych i związkowców. Okazało się, że to szefowa miała rację!

- Naprawdę tak pani myśli? - wypytywał Jupe. - Wierzy pani, że przybyli tu kosmici?

- A cóż by to mogło być? - mruknęła Elsie odwracając wzrok. Wstała i zaczęła w pośpiechu przeszukiwać zawartość szuflady. Wyjęła z niej blaszany lichtarz i świeczkę.

- Weźcie to ze sobą do sypialni - powiedziała wręczając chłopcom znalezione przedmioty. Zabrała lampę i poszła na górę. Po chwili przez hol przemknęła Mary Sedlack, która pospieszyła za kucharką.

Banales, Detweiler i Aleman również mieli pokoje w wiejskim domu. Wkrótce i oni udali się na spoczynek. Banales wskazał Konradowi i chłopcom obszerną sypialnię we frontowej części domu. Konrad marudził, że nie zmrzy oka, lecz mimo to zasnął, ledwie przyłożył głowę do poduszki.

Długo po zgaszeniu świecy chłopcy leżeli na posłaniach, wpatrując się w ciemność i nasłuchując odgłosów starego budynku. Nie tylko oni cierpieli na bezsenność. Ktoś z domowników przewracał się z boku na bok, ktoś inny spacerował nerwowo po mrocznym pokoju.

Jupe obudził się przed świtem. Czuł, że już nie zaśnie. Nieustannie analizował zdarzenia wczorajszego dnia. Po pewnym czasie wstał i podszedł do okna. Po niebie płynął blady księżyc. Na pogrążonej w półmroku farmie panowała zupełna cisza. Jupe nie słyszał żadnych odgłosów porannej krzątanimy. Trudno mu było określić godzinę, ale sądził, że wkrótce nadejdzie świt.

Nagle coś przyszło mu do głowy. Zaczął się pospiesznie ubierać. Na palcach podszedł do łóżek zajmowanych przez kolegów. Obudził ich bez trudu. Po kilku minutach chłopcy zeszli cicho po schodach i wymknęli się z domu. Przy słabym blasku zachodzących gwiazd Jupe prowadził kolegów wśród chat pracowników farmy ku parkingowi i budynkom gospodarczym. Trójka detektywów skryta się w cieniu drzew.

- Co jest grane? - rzucił Pete. Jupe zmarszczył brwi i skubał dolną wargę. Zawsze miał

taką minę, gdy był głęboko zamyślony.

- Jak sądzicie, czy trudno jest naśladować głos prezydenta? - zapytał po chwili milczenia. - Nagranie wojskowego marsza w wykonaniu orkiestry marynarki wojennej też nie jest trudne do zdobycia.

- Sądzisz, że to mistyfikacja? - zapytał Bob.

- Sam nie wiem. Przypomniała mi się słynna audycja radiowa, o której niedawno czytałem - odparł Jupe. - Zrealizował ją reżyser Orson Welles. Nie zamierzał nikogo oszukać, lecz mimo woli narobił sporo zamieszania.

Jupe oparł się o pień drzewa i chrząknął, jakby zamierzał rozpocząć wykład.

- To się zdarzyło w latach trzydziestych - oznajmił. - Nie było wówczas telewizji. Z okazji listopadowego święta Halloween Welles przygotował dźwiękową wersję powieści angielskiego pisarza Herberta George'a Wellsa "Wojna światów". Rzecz dotyczyła najazdu potworów z Marsa, które próbowały zawładnąć Ziemią. Przed rozpoczęciem audycji spiker zapowiedział, że to fikcja literacka, lecz kolejne odcinki pojawiające się co pewien czas na antenie przypominały do złudzenia komunikaty nadawane przez reporterów. Słuchacze, którzy nieco później włączyli odbiorniki, dowiadywali się nagle, że rakiety pełne przybyszów z kosmosu wylądowały niedaleko pewnego miasteczka w stanie New Jersey. Wkrótce doniesiono, że tajemnicze pojazdy to kosmiczne statki Marsjan. Wypęły z nich ohydne potwory wyposażone w niezliczone przyssawki. W scenariuszu były sekwencje nadawane rzekomo z wozów transmisyjnych. Milionowe audytorium wsłuchiwało się z zapartym tchem w odgłosy policyjnych syren i krzyk tłumu. Donoszono o trujących gazach rozpylanych na podmokłych terenach New Jersey. Aktorzy grający reporterów przekazywali relacje o sytuacji na drogach. Wszystkie główne arterie miały być rzekomo zatarasowane przez tłumy uciekinierów, którzy umykali przed najeźdźcami z kosmosu.

Pracownicy stacji radiowej do chwili zakończenia audycji nie mieli pojęcia, że słuchacze rzeczywiście wylegli na drogi, uciekając przed kosmitami. Tysiące ludzi przyjęło wiadomość o ich przybyciu za dobrą monetę. Wybuchła panika.

- Istnieje zatem spore prawdopodobieństwo - ciągnął Jupe - że transmisja, którą usłyszeliśmy, nie została nadana z Waszyngtonu. Może to wcale nie był głos prezydenta? A jeśli nagranie zostało wyemitowane z nadajnika umieszczonego gdzieś w pobliżu? - Jupe wskazał ręką otaczającą dolinę urwisko.

- Zgoda - przyznał Bob. - Nadajnik może być tam. Zagłuszanie innych programów radiowych też nie stanowi problemu. Rzekome orędzie prezydenta istotnie mogło być nadane z prowizorycznej stacji radiowej zamontowanej na wzgórzu. Trudniej wytłumaczyć blokadę



drogi przez wojsko...

- Przyjmijmy, że to zwykli oszuści - zaproponował Jupe. - Porucznik jest wyjątkowym służbistą. Mnie się to wydaje podejrzane. Stara się być nienaganny pod każdym względem. Wygląda jak spod igły. Przypomina aktora, który wciela się w postać oficera.

- Może niedawno dostał awans - zastanawiał się Bob. - Z drugiej strony jednak muszę przyznać, nosi mundur jak kostium. Ciągle chodzi w rękawiczkach. Podobno młodzi oficerowie mają skłonność do przesady.

- Jeśli to mistyfikacja, ktoś zadał sobie wiele trudu, żeby ją przygotować - stwierdził Pete. - Po co by to robił? Ta błękitna poświata i płomień nad urwiskiem wyglądały... niesamowicie. Trudno jest zmienić litą skałę w jezioro dymów i ognia. Widzieliśmy startujący z łąki statek kosmiczny. Nie zapominaj o spalonych włosach pasterza owiec! A co powiesz o kawałku metalu znalezionym w trawie przez Hanka Detweilera? Trudno powiedzieć, czy to zawór, przekładnia czy jakiś inny mechanizm.

- Te argumenty brzmią przekonująco - odparł Jupe - ale spróbuj popatrzeć na sprawę inaczej. Twój ojciec pracuje w studiu filmowym. Czy wczorajsze zdarzenia nie mogłyby zostać powtórzone przez zdolnego fachowca od efektów specjalnych?

- Racja... Wszystko da się zrobić - mruknął po namyśle Pete. - Nie byłoby z tym większych problemów.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać, o co tu chodzi - odparł Jupe. - Musimy zrealizować nasz wcześniejszy plan, dotrzeć do najbliższego miasteczka i zorientować się w sytuacji.

- To oznacza, że trzeba będzie wrócić na łąkę i przejść obok urwiska, prawda? - rzucił Bob. - Trudno. Nie ma innego wyjścia. Ruszamy.

- O nie! - jęknął Pete. - Naprawdę musimy iść przez pastwisko? A jeśli coś... ktoś... nam zgrozi?

- To samo mówiłeś wczorajszej nocy, a jednak spotkaliśmy tylko pasterza. Nie martw się na zapas. Wyjdziemy dopiero, gdy się rozwidni - zapewnił Jupe.

Detektywi czekali niecierpliwie, aż poranny brzask rozświetli dolinę. O świcie szybkim krokiem ruszyli w stronę łąki. Gdy minęli pola uprawne i znaleźli się na skraju pastwiska, ujrzeni mgłę, która podniosła się znad sztucznego jeziora i pełzała po trawie długimi pasmami. Chłopcy śmiało poszli dalej. Ominęli stado owiec pasących się w oddali. Każdy z Trzech Detektywów odczuwał dziwny niepokój. Przypomniał im się pasterz Simon de Luca rozciągnięty bezwładnie na ziemi oraz jego włosy spalone ogniem startującego pojazdu.

Chłopcy posuwali się wolno, omijając skały oraz krzaki rosnące w pobliżu tamy.

Wspięli się na jej szczyt i ruszyli wzdłuż sztucznego jeziora. Pete szedł pierwszy wśród skłębionej mgły.

Nagle rozległ się jego krzyk.

Ktoś stał na ścieżce - wysoka smukła postać z nieproporcjonalnie wielką głową. Po chwili detektywi spostrzegli, że zagadkowa istota nosi kosmiczny skafander wykonany z połyskliwego białego materiału, który migotał w bladym świetle poranka. Głowę tajemniczej postaci okrywał wielki hełm; idealny strój ochronny nurka, astronauty lub kosmity, dla którego ziemska atmosfera jest zabójcza.

Pete znowu krzyknął. Jupe ujrzał wzniesioną rękę zadającego cios przybysza z kosmosu. W tej samej chwili poczuł, że ktoś chwyta go od tyłu za szyję i unosi w powietrze. Zobaczył szare niebo i blednące poranne gwiazdy. Nagle poczuł ostry ból. Miał wrażenie, że spada w czarną otchłań. Zrobiło mu się ciemno przed oczyma.

## ROZDZIAŁ 9

### Zachęta do myszkowania

Gdy Jupe otworzył oczy, ujrzał nad sobą błękitne niebo. Mgła zniknęła. Obok niego klęczał zatroskany Konrad.

- Jupe, powiedz coś! Jak się czujesz? - powtarzał z niepokojem.

Chłopiec jęknął. Bolał go kark i ramię. Usiadł z trudem i zachwiał się.

Rafał Banales pomógł wstać leżącemu obok Pete'owi. John Aleman mówił coś przyciszonym głosem do Boba siedzącego na trawie, z kolanami podciągniętymi do brody.

- Konradzie, jak nas znalazłeś? - zapytał Jupe.

- To wcale nie było trudne - odparł z uśmiechem kierowca. - Zaraz po przebudzeniu zorientowałem się, że was nie ma. Próbowałem sobie wyobrazić, co bym zrobił na miejscu Jupitera Jonesa. Nie miałem wątpliwości, że podniecony niebezpieczeństwem chłopak szukałby guza. Obudziłem Alemana, Banalesa i Detweilera. Razem wyruszyliśmy na poszukiwania.

Jupe rozejrzał się po łące. Zobaczył stojącego za nim Hanka Detweilera.

- Co tu się wydarzyło? - pytał zarządca, marszcząc brwi.

- Ktoś zastąpił nam drogę - oznajmił Jupe. - Widziałem tajemniczą postać w skafandrze, która uderzyła Pete'a.

- Chyba żartujesz! - obruszył się Detweilera.

- Tak było - potwierdził Pete, obmacując potężnego guza na głowie i krzywiąc twarz. - Ten gość nieźle mi przyłożył.

Jupe dotknął karku, próbując przypomnieć sobie dokładnie, co było dalej.

- Ktoś zaszedł mnie od tyłu i próbował dusić. Szybko pociemniało mi w oczach.

- A zatem padliśmy ofiarą trójki napastników - dodał Bob. - Jeden z nich śmierdział koźmi.

- Proszę? - rozległ się głos Charlesa Barrona, który niespodziewanie pojawił się na łące. - Kto śmierdział koźmi? Hank, co tu się dzieje?

- Chłopcy wymknęli się z domu przed świtem - wyjaśnił zarządca - i zostali napadnięci. Pete twierdzi, że widział postać w kosmicznym skafandrze. Bob stwierdził przed chwilą, że jeden z napastników śmierdział koźmi.

- To idiotyzm! - odparł Barron. - Kosmici nie jeżdżą konno i nie pracują w stajni. Hank, podjadę tu ciężarówką. Zaprowadź chłopców na łąkę poniżej jeziora. Zawiozę

smarkaczy na ranczo. Moja żona ich opatrzy.

Nie minęło dziesięć minut, gdy chłopcy znaleźli się w dużej sypialni i zostali zapakowani do łóżek przez Mary Sedlack oraz Elsie.

- Mieliście dużo szczęścia - gderała Mary. - Niewiele brakowało, żeby Simon de Luca poważnie się rozchorował od rany odniesionej na łące. Wy również mieliście dzisiaj spore kłopoty, ale wszystko dobrze się skończyło. Nie przeciągajcie struny. Trzymajcie się z dala od łąki. To miejsce zyskało sobie złą sławę.

Wkrótce obie kobiety wyszły z pokoju.

- Nie czułem dziś od Mary końskiego zapachu - stwierdził Jupiter.

- Sądysz, że mogła być wśród napastników? - odparł Bob.

- Nie da się tego wykluczyć - mruknął Jupe, wzruszając ramionami. - Wygląda na kobietę silną i wysportowaną. Sądzę, że przynajmniej jedna z osób, które nas zaatakowały, pochodzi ze starej Ziemi. Nie mieści mi się w głowie, żeby kosmici śmierdzieli stajnią.

- Kto tu jeździ konno? - zastanawiał się głośno Bob. - Sporo jest takich osób. Na przykład Hank Detweiler. Idę o zakład, że w siodle czuje się doskonale. Barron na pewno też dosiada koni. Mary wiele czasu spędza w stajni. Banales i Aleman z pewnością potrafią się utrzymać na końskim grzbiecie. Trudno coś powiedzieć o pracownikach, którzy mieszkają w chatach. Ciekawe, co to za ludzie.

- O kim mówicie? - rozległ się głos pani Barron, która weszła cicho po schodach. Stała w drzwiach, uśmiechając się do młodych gości.

- Mój mąż bardzo się o was martwi. Powiedział, że zostaliście napadnięci... przez kosmitów - oznajmiła z wahaniem.

- Napadły nas trzy osoby, z których jedna nosiła kosmiczny skafander - poprawił Jupe.

Pani Barron usiadła na brzegu łóżka i poświeciła chłopcu w oczy małą latarką, sprawdzając jego reakcję.

- Wszystko w porządku - oznajmiła cicho. - Miałeś sporo szczęścia.

Zbadała Pete'a i sprawdziła opatrunki.

- Co robiliście na łące, moi drodzy? - wypytywała z ciekawością.

- Zamierzaliśmy wymknąć się z farmy i dotrzeć do najbliższego miasteczka - oznajmił Jupe. - Czy to naprawdę takie oczywiste, że mamy do czynienia z prawdziwymi kosmitami? Pani wydaje się absolutnie pewna, że tak jest. Ile osób zatrudnionych na ranczu Valverde zna panią jako zwolenniczkę poglądu o kontaktach z cywilizacją pozaziemską?

- Nie ukrywam swoich przekonań. Sądzę, że wszyscy na farmie je znają. Mam jednak... wątpliwości. Nie jestem pewna, czy wczoraj spotkaliście przyjaznych Ziemianom

kosmitów, których przybycia oczekuję.

- Naprawdę? - rzucił zdziwiony Jupiter. Pani Barron wolno pokiwała głową i usiadła na łóżku Boba.

- Statek kosmiczny, który ostatniej nocy widzieliśmy nad urwiskiem, przypominał do złudzenia pojazdy opisane przez obserwatorów z różnych stron kraju. Ziemianie spotykali wielokrotnie przybyszów z kosmosu twarzą w twarz i mieli okazję z nimi rozmawiać. Tym razem ludzie zostali zaatakowani. Simon jest ranny, wy również ucierpieliście. Przybysze z kosmosu do tej pory nie zachowywali się agresywnie. To wysoko rozwinięta cywilizacja, która w kontaktach z ludźmi posługuje się telepatią. Nigdy nie atakują. Prawdziwi kosmici w żadnym wypadku nie posunęliby się do rękoczynów. Nie po to do nas przybywają. Chcą nam pomóc!

- Jasne - odparł Jupiter. - Czy wiadomo pani, że planeta Omega znajduje się podobno w galaktyce najbliższej Ziemi, w konstelacji Andromeda? Czy wie pani, jaka odległość nas dzieli?

- Około dwóch milionów lat świetlnych - odparła rzeczowo pani Ernestyna. - To oczywiste, że trudno wyobrazić sobie taką podróż, ale kosmici przybywający nam z pomocą dysponują o wiele bardziej zaawansowaną technologią niż mieszkańcy Ziemi. Odległości nie stanowią dla nich przeszkody. Przemierzają kosmiczne przestrzenie wzdłuż i wszerz. Musicie przeczytać książkę "Światy równoległe" Korsakova. Rozwieje szybko rozmaite wątpliwości. Autor odwiedził planetę Omega i powrócił na Ziemię, by przygotować nas do spotkania z kosmitami. Z jego relacji można się dowiedzieć, że nasi przyjaciele z innej galaktyki są zaniepokojeni wojnami i wyścigiem zbrojeń, a odkąd skonstruowaliśmy bombę atomową... staliśmy się dla kosmitów poważnym zmartwieniem.

- Rozumiem - wtrącił Jupiter.

- Gdy zdarzy się najgorsze, przyjaciele ludzkości pomogą mieszkańcom zagrożonej planety - wyjaśniła pani Barron. - Nie wszyscy zostaną ocaleni. Kosmici zabiorą tych, którzy gotowi są poświęcić wszystko, by po katastrofie zbudować cywilizację na nowo, kiedy uda się już opanować ziemski chaos.

- Mój mąż do tej pory nie chciał przyjąć do wiadomości, że czeka nas taka przyszłość. Gdy ostatniej nocy ujrzał statek kosmiczny, nie położył się spać, tylko przez całą noc czytał książkę Korsakova. Sięgnął także po jeden z tomów napisanych przez Contrerasa. Dziś rano stwierdził, że uwierzył w możliwość nawiązania kontaktu z kosmitami.

- Z pewnością bardzo się pani ucieszyła - stwierdził Jupe.

- Nie. Jestem zakłopotana. Rzekomi przyjaciele okazali się łotrami, którzy rozdają

ciosy na prawo i lewo - odparła pani Barron. - Wolałabym, żeby prawda była inna.

- Nie można wykluczyć - powiedział Jupe - że wcale nie mamy do czynienia z kosmitami.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odparła z uśmiechem pani Ernestyna. - Ktoś próbuje nas oszukać. Zadał sobie wiele trudu, by nadać tej mistyfikacji pozory prawdy. Wspomniałam o swoich podejrzeniach Charlesowi, a on zrobił mi awanturę. Powinnam była to przewidzieć. Skoro uznał, że relacje o kosmitach są prawdziwe, nie pozwoli ich kwestionować. Jest przekonany, że zostanie przez nich ocalony.

- Z pewnością uznał, że to bardzo obiecująca perspektywa - mruknął Jupe. Po chwili dodał: - Proszę nam opowiedzieć o pracownikach farmy.

- O pracownikach? - powtórzyła zaskoczona kobieta. - Jesteście wyjątkowo wścibscy, moi drodzy. Czuję się jak świadek przesłuchiwany przez policjantów.

Portfel Jupe'a leżał na nocnej szafce. Chłopiec sięgnął po niego bez słowa, wyciągnął kartę wizytową i podał ją pani Barron. Było tam napisane:

**TRZEJ DETEKTYWI**

**Badamy wszystko**

**???**

**Pierwszy Detektyw . . . . . Jupiter Jones**

**Drugi Detektyw . . . . . Pete Crenshaw**

**Dokumentacja i analizy . . . . . Bob Andrews**

- Detektywi! - zawołała pani Barron.

- Rozwiązywanie zagadek kryminalnych to nasza pasja - oznajmił Jupe. - Mamy w tej dziedzinie spore sukcesy. Jesteśmy wolni od uprzedzeń charakterystycznych dla wielu dorosłych detektywów. Przyjmujemy do wiadomości najbardziej nieprawdopodobne wersje wypadków i często okazuje się, że mamy rację.

- Rozumiem - stwierdziła pani Barron. - Wydarzenia, które ostatnio miały miejsce na farmie, rzeczywiście wydają się osobliwe. Chyba nadszedł czas, by godni zaufania detektywi przeprowadzili rzetelne śledztwo. Ja przynajmniej jestem tego zdania. Czy mogę zostać waszą klientką?

- Oczywiście - rzucił skwapliwie Jupiter. - Trzej Detektywi są od tej chwili na pani usługi. A zatem proszę nam opowiedzieć o pracownikach farmy.

- Zgoda - odparła pani Barron, sadowiąc się wygodnie w niewielkim fotelu ustawionym w nogach łóżka, na którym leżał Jupe. - Hanka Detweilera poznaliśmy w czasie

pobytu u przyjaciół w Teksasie. Jego profesjonalizm zrobił na Charlesie ogromne wrażenie. Mój mąż skorzystał z usług pośrednika bankowego w Austin, by sprawdzić dyskretnie stan konta i kredytowe zaszłości Detweilera. Charles jest przekonany, że najwięcej mówi o człowieku historia zaciągniętych przez niego kredytów. Mój mąż powiada, że ludzie, którzy niefrasobliwie odnoszą się do swoich i cudzych pieniędzy, nie potrafią też wydajnie pracować. Hank okazał się w kwestiach finansowych prawdziwym pedantem. Charles go zaangażował.

Rafaela znaleźliśmy przez biuro absolwentów Uniwersytetu Kalifornijskiego. Skończył studia przed sześcioma laty, a potem nadzorował wielkie sady cytrusowe. Zyskał sobie doskonałą opinię. John Aleman prowadził warsztat samochodowy w Indio. Gdy tamtędy przejeżdżaliśmy, naprawiał nasze auto. Odwalił kawał dobrej roboty.

- Regularnie spłacał kredyty?

- Oczywiście. Elsie z kolei nie miała się czym pochwalić. Zalegała ze spłatami. Niekiedy jej wydatki przekraczały stan konta. Pomagała jednak młodszemu bratu. To zrozumiałe, że od czasu do czasu brakowało dziewczynie pieniędzy. Pracowała jako kucharka w małej restauracji w Saugus. Ze skromnej pensji zdołała kupić bratu sklepik ze sprzętem radiowym. Gotowała doskonale. Charles postanowił zaryzykować i przyjął ją do pracy.

- A co pani wie o Mary Sedlack?

- Pracowała w stajni wynajmującej konie pod siodło w ośrodku turystycznym Sunland - wyjaśniła pani Barron. - Usłyszała o ranchu Valverde od znajomego, który mieszka w Santa Maria, i napisała podanie o pracę. Chce studiować weterynarię. Ma tu darmowe mieszkanie i wikt. To bardzo korzystne rozwiązanie dla osoby, która wszystkie pieniądze odkłada na studia. Nie brała dotąd żadnych kredytów. Od nikogo nie pożycza pieniędzy. Charles sprawdził jej ojca, który okazał się wypłacalny. Warto dodać, że pracuje w banku.

- Co może pani powiedzieć o innych? Mam na myśli przede wszystkim mieszkańców chat zbudowanych wzdłuż alei dojazdowej - Jupe wypytywał dalej.

- Pracowali na ranchu Valverde, nim kupił je mój mąż. Niektórzy się tutaj urodzili. Tu jest ich dom. - Pani Barron wstała z fotela i oznajmiła: - Nie sądzę, żeby ktoś z naszych pracowników był zamieszany w tę mistyfikację. Zbyt wiele mają do stracenia. Co mogliby zyskać w zamian?

- Pan Barron uchodzi za bogacza - przypomniał Jupe. - Może oszuci chcą go obrabować.

- Co mieliby ukraść? - rzuciła z powątpiewaniem klientka chłopców. - Nie trzymamy tu wartościowych przedmiotów. Nawet gotówki mamy niewiele. Mój mąż zdeponował

pieniądze w banku, jak większość ludzi. Mamy otwarte konto w Pacific Coast National Bank w Santa Barbara. Wynajmujemy tam sejf. Leży w nim moja biżuteria oraz kosztowne drobiazgi męża.

- Czy to już wszystko? Niczego pani nie pominęła w swojej relacji? - dopytywał się Jupiter. - Być może posiadacie państwo jakieś przedmioty z pozoru bez wartości, które z jakichś powodów mogą być dla kogoś niezwykle cenne. Czy pani mąż ma wrogów, którzy chcieliby się na nim zemścić?

- Sądzę, że to bardzo prawdopodobne - odparła spokojnie pani Barron.

- Skoro przybycie kosmitów i start latającego talerza był tylko mistyfikacją - zastanawiał się Jupe - ów spektakl powinien mieć jakiś cel, choć z pozoru cała sprawa wydaje się pozbawiona sensu.

Pani Barron milczała przez chwilę.

- Nie przychodzi mi do głowy, co mogłoby stanowić powód tych wszystkich zabiegów. Nie ma tu żadnych kosztowności. Możecie się przekonać na własne oczy...

Pani Barron przerwała i bystro zerknęła na Jupe'a.

- Oczywiście! Powinniście trochę u nas pomyszkować!

- Proszę? - rzucił niepewnie Jupe.

- Musicie rozejrzeć się po obu domach - stwierdziła pani Ernestyna. - Wszystko, co posiadamy... mam na myśli rzeczy osobiste... znajduje się w rezydencji. Jedyne biżuterię przechowujemy w bankowym sejfie. Przyszedł mi do głowy świetny pomysł. Po obiedzie, gdy Maria, która podaje do stołu, pójdzie do swego domu na sjęstę, a mój mąż wyruszy jak co dzień na objazd posiadłości, wstaniecie i rozejrzycie się po pokojach. Może coś zwróci waszą uwagę... jakiś szczegół, który mnie umknął, a dla was okaże się istotny.

- Doskonały pomysł - przyznał Jupe.

- Mój mąż nie byłby nim zachwycony - stwierdziła znacząco pani Barron.

- Zapewne - przyznał chłopiec.

- A zatem nic mu nie powiemy.

- Oczywiście, że nie, proszę pani - odparł z uśmiechem Jupe. - Na nas można polegać.

- Jestem tego pewna.

Pani Ernestyna wyszła z pokoju. Jupiter opadł na poduszki. Skubał w zamyśleniu dolną wargę, co oznaczało, że głęboko się nad czymś zastanawia. Ponuro gapił się w sufit.

- Nasz przemądry Sherlock Jones tak się zadumał, że słyhać niemal stukot trybików w jego mózgu - stwierdził z uśmiechem Pete. - Wysłnułeś jakieś wnioski, Sherlocku?

- Nie - mruknął Jupe. - Analizuję rozmaite warianty.



- A mianowicie? - zapytał Bob.

- Ktoś próbuje uniemożliwić Charlesowi Barronowi kontakt ze światem zewnętrznym. Gdy nasz gospodarz nie będzie w stanie porozumieć się z innymi ludźmi, oszuści zaczną go szantażować i zwodzić. Mogą przetrzymywać go tu dla wymuszenia okupu. Nie wykluczam, że ktoś z mieszkańców farmy żywi do niego urazę i próbuje wystrychnąć go na dudka lub nastraszyć. Istnieje też inna możliwość.

- Jaka? - dopytywał się Pete.

- Być może ta osobliwa zagadka istotnie ma związek z przybyciem kosmitów na Ziemię.

## ROZDZIAŁ 10

### W pułapce

Trzej Detektywi zasiedli do obiadu przy kuchennym stole w wiejskim domu razem z pozostałymi pracownikami farmy - Elsie Spratt, Mankiem Detweilerem i kilkoma innymi osobami. Jedli w milczeniu. Wszyscy pogrążeni byli w ponurych rozmyślaniach. Elsie podała zupę. Niespodziewanie rozległo się buczenie lodówki. Bob aż podskoczył na krześle, jakby go ktoś niespodziewanie uderzył.

- Włączyli prąd? - zapytał z niedowierzaniem Pete.

- Mamy własny generator - wyjaśnił John Aleman.

- Ach tak - mruknął rozczarowany chłopiec. - Całkiem o tym zapomniałem.

Mank Detweiler rzucił mu badawcze spojrzenie.

- Postarajcie się zapamiętać, chłopcy, że pan Barron polecił nam mieć was na oku - oznajmił surowo zarządca. - Radzę wam trzymać się z daleka od łąki. Postawiliśmy na drodze kilku strażników, więc i tak nie zdołacie się tam przemknąć.

- Co to ma znaczyć? - wypytywała Elsie. - Czy pan Barron naprawdę boi się o chłopców, czy też oczekuje powrotu kosmitów?

- Zapewne chodzi mu o jedno i drugie - odparł Detweiler. - Przypuszcza, że latający talerz pojawi się znowu, bo przybysze z kosmosu muszą zabrać na pokład pozostawionych w tej okolicy astronautów.

- Tych, którzy nas zaatakowali? - dopytywał się Jupiter.

- To jedyny fakt, który w tej całej sprawie nie budzi moich wątpliwości - odparł z ponurą miną zarządca. - Powiniennem rozejrzeć się od razu i wytropić istotę w kosmicznym skafandrze... kimkolwiek ona jest. Warto by także schwytać dwójkę współników.

- Może napastnicy zdołali wspiąć się na wzgórze po skałach? - podsunął Jupiter.

- Kto wie? - mruknął Detweiler i zamilkł.

Nikt nie miał ochoty rozmawiać. Po skończonym posiłku detektywi podziękowali, opuścili kuchnię i usiedli na schodach wiodących do tylnych drzwi. Po chwili ujrzeni Charlesa Barrona, który wyszedł z rezydencji i ruszył aleją w stronę aut zaparkowanych przed szopami.

Na widok chłopców przystanął i rzucił ostrzegawczym tonem:

- Koniec już z waszymi niebezpiecznymi wyprawami! Jeśli usłyszę, że znowu wymknęliście się na łąkę albo że włączycie się, gdzie nie trzeba, czeka was areszt domowy.

- Tak jest, proszę pana - odparł pokornie Jupe.

Barron ruszył aleją. Po chwili w drzwiach rezydencji pojawiła się służąca o imieniu Maria. Uśmiechnęła się do chłopców i poszła w stronę domów stojących przy żwirowej drodze.

Gdy zniknęła z oczu trójce detektywów, Jupe wstał i pomaszerował w stronę frontowych drzwi rezydencji Barronów.

Pani domu czekała w cieniu werandy. Stały tam pomalowane na biało masywne krzesła i stoliki z kutego żelaza. Nadawały domowi surowy i spartański charakter. Żelazne ozdoby splecione z misternie cyzelowanych gałęzi i kolczastych pnączy zniechęcały do wypoczynku; rodziło się podejrzenie, że siedząca na krześle osoba może się niechętnie pokłuc lub skaleczyć. Mimo to pani Barron usadowiła się całkiem wygodnie w metalowym fotelu. Jej dłonie spoczywały bez ruchu na kolanach, ale w oczach tańczyły wesołe iskierki. Jupe domyślił się, że myszkowanie po własnym domu uważa za wspaniałą przygodę.

Chłopcy zdecydowali tego ranka, że tylko Jupiter dokona z panią Ernestyną inspekcji starego domostwa. W tym samym czasie Pete i Bob mieli się zorientować, co porabiają żołnierze pilnujący drogi.

- Do zobaczenia wkrótce - pożegnał kolegów Jupe. - Nie dajcie się złapać, jak podejście do ogrodzenia.

- Nie ma obawy - odparł Pete.

Pierwszy detektyw wspiął się po schodach prowadzących na werandę. Pani Barron wstała i po chwili oboje zniknęli w holu. Gdy Jupe zamknął drzwi, stali przez chwilę bez ruchu wsłuchani w tykanie wiekowego zegara stojącego na podeście schodów.

- Od czego zaczniemy? - zapytała pani Barron.

- To miejsce jest równie dobre jak każde inne - stwierdził Jupe.

Zajrzał do tradycyjnie urządzonego salonu. Na podłodze leżały tureckie dywany. Fotele i kanapy obite były aksamitem. Nie zauważył niczego, co mogłoby wzbudzić ciekawość złodziei. Odwrócił się i wszedł do pokoju muzycznego. Stało tam pianino, kilka złożonych krzeseł i oszklone szafy, w których leżały stosy nut oraz dziecięce rysunki.

- To prace moich synów. Powstały, gdy chodzili do szkoły podstawowej - wyjaśniła pani Barron. - Moim zdaniem są całkiem udane.

- Bardzo ładne - oznajmił nieszczerze Jupe. W głębi ducha sądził, że to okropne bohomy. Odłożył rysunki na właściwą półkę i przeszedł do jadalni. Ujrzał tam parę kredensów wypełnionych cennymi srebrami.

- To wartościowe przedmioty - zauważył Jupe - ale nie sądzę, żeby komuś opłacało się

przygotować skomplikowaną mistyfikację tylko po to, by je ukraść. Paser nie dałby złodziejowi dobrej ceny za pani sztucce albo serwis do kawy.

- Masz rację - przyznała właścicielka sreber.

W kuchni oczom detektywa ukazały się półki zastawione przetworami. W niezliczonych słoikach przechowywano zebrane na farmie warzywa i owoce. Żaden nie stał tu dłużej niż rok.

Jupe rozejrzał się, a następnie otworzył drzwi wiodące do piwnicy. Pani Barron włączyła światło. Oczom chłopca ukazało się mroczne, pełne kurzu pomieszczenie. Zobaczył tam wielki stos drewna opałowego i ogromną zagrodę pełną węgla.

- Tak to wyglądało przed laty u Barronów w Wisconsin - oznajmiła pani Ernestyna, wskazując ręką wielki staromodny piec stojący obok stosu węgla. - Charles życzył sobie, żeby wszystko wyglądało tak, jak w czasach jego dzieciństwa.

Jupe przyglądał się pudłom, kosmom i skrzyniom stojącym na cementowej podłodze. W głębi piwnicy spostrzegł schody, wiodące prosto na podwórko. Kończyły się staromodną, zbitą z desek klapą w suficie, która zastępowała drzwi.

Jupiter zainteresował się metalowym ogrodzeniem, które dostrzegł w rogu piwnicy. Od podłogi do sufitu sięgały grube stalowe pręty. Masywne drzwi zamknięte były na potężną kłódkę. Jupe podszedł bliżej i w prześwicie między solidnymi sztabami ze stali ujrzał dziesiątki strzelb na stelażach ustawionych wzdłuż ściany; obok znajdowały się pudełka z amunicją i materiały wybuchowe. Po drugiej stronie zobaczył półkę z karabinami maszynowymi i pistoletami.

- To prawdziwy arsenał - zauważył ironicznie. - Czy tradycja stanu Wisconsin każe trzymać takie rzeczy w piwnicy?

Pani Barron ze smutkiem pokręciła głową.

- To ostatni nabytek - powiedziała. - Charles zaczął tu składować broń przed sześcioma miesiącami. Uznał, że zbliża się pora, kiedy będziemy musieli stanąć w obronie naszego stanu posiadania.

- Rozumiem - mruknął chłopiec. Podszedł do skrzyń i koszy. Zaglądał do nich po kolei.

- Nic tu nie ma - rzucił w końcu.

- Owszem - przytaknęła pani Barron. - Właściwie nie korzystamy z piwnicy.

Wrócili do kuchni. Właścicielka rezydencji poprowadziła młodocianego detektywa na pierwsze piętro.

Obok schodów znajdowały się pokoje służby, których teraz nie używano. W

pozostałych sypialniach stały wielkie zeszlowieczne łoża przykryte brokatowymi narzutami. Jupe dostrzegł również wytworne sekretarzyki, toaletki i marmurowe kominki z lustrami sięgającymi do sufitu. Pani Barron zaprowadziła gościa do swego pokoju. Otworzyła szafy i komody oraz szuflady biurka.

- Nic tu nie ma. Żadnych błyskotek. Na farmie prawie nie noszę biżuterii - oznajmiła.  
- Mam tu jedynie sznur pereł i pierścioneł zaręczynowy. Wszystkie kosztowności trzymamy w bankowym sejfie.

- Czy jest w tym domu strych? - zapytał Jupe. - Mają państwo obrazy? Chodzi mi o jakieś cenne płótna. A może trzymacie tu ważne papiery? Może pan Barron ma jakieś dokumenty, które stanowią łakomy kąsek dla szantażystów i oszustów?

- Odziedzyczyliśmy kilka portretów, które jedynie dla Charlesa są coś warte jako rodzinne pamiątki. Jeśli chodzi o dokumenty, mało wiem na ten temat. Nie mam głowy do interesów. Charles trzyma wszystkie papiery w swoim gabinecie.

Pani Barron minęła główne schody i ruszyła w głąb korytarza. Niewielki gabinet w południowym rogu domostwa był jeszcze bardziej nieprzytulny i staromodny niż pokoje, które Jupe widział do tej pory. Przypominał biuro naczelnego dyrektora. Była tam wielka sekretera z żaluzjowym zamknięciem, fotel kryty skórą, obrotowe krzesło oraz kilka dębowych szafek na dokumenty. Nad gzymsem kominka wisiał oprawiony sztych przedstawiający budynki fabryczne.

- Tak wyglądały zakłady Barron International - oznajmiła przewodniczka młodego detektywa, wskazując ręką sztych. - Przyniosły fortunę rodzinie mojego męża. Rzadko wchodzę do tego pokoju, ale...

Pani Barron przerwała. Na drodze przed domem rozległo się głośne wołanie. Właścicielka rezydencji podeszła do okna i otworzyła je szeroko.

- Proszę pani! - wrzeszczała kobieta stojąca pośrodku zwirowej alei. - Szybko! Czy może pani tu przyjść? Nilda Ramirez spadła z drzewa i zraniła się w rękę!

- Już idę! - odrzyknęła pani Barron i zamknęła okno. - Będiesz musiał sam kontynuować poszukiwania - zwróciła się do Jupe'a. - Dasz sobie radę bez mojej pomocy. Wezmę apteczkę i pójde zrobić opatrunek córce Ramirezów. Nie siedź tu za długo. Charles wkrótce powróci do domu.

- Zaraz stąd uciekam - obiecał Jupe.

Pani Barron wyszła z pokoju. Chłopiec słyszał, jak szpera w łazience na pierwszym piętrze. Wkrótce zeszła po schodach i wybiegła z domu. Jupe obserwował z okna idące przez trawnik dwie kobiety - panią Barron i pracownicę, która po nią przybiegła. Wkrótce zniknęły

w cytrusowym sadzie po drugiej stronie alei.

Jupe odszedł od okna, zbliżył się do prostego kominka i odsunął wiszący nad nim sztych.

- Nareszcie! - rzucił głośno.

Za obrazem znajdował się staromodny sejf zamykany na klucz. W czasach kiedy go wyprodukowano, nie istniały jeszcze zamki szyfrowe otwierane dzięki odpowiedniej kombinacji cyfr.

Jupe domyślił się od razu, że pani Barron nie ma pojęcia o istnieniu sejfu. Przypuszczał, że Barron wyszperał go w jakiejś rupieciarni i po renowacji zainstalował w rezydencji przeniesionej do Kalifornii. Chłopiec pociągnął za uchwyt. Zgodnie z jego przypuszczeniem sejf był zamknięty na klucz, podobnie jak drewniana roleta broniąca dostępu do zawartości wielkiej sekretery oraz szafka z dokumentami.

Jupe usiadł w fotelu zastanawiając się, gdzie Charles Barron schował klucze. Próbował sobie wyobrazić, jak by postąpił na jego miejscu. Co umieściłby w sejfie? Czy nosiłby kluczyki przy sobie? A może by uznał, że lepiej zostawić je w domu? Warto chyba mieć zapasowe klucze.

Jupiter rozpromienił się natychmiast. Czuł, że jest na właściwym tropie. Człowiek taki jak Charles Barron na pewno ukrył w domu zapasowy komplet.

Chłopiec zabrał się ochoczo do poszukiwań. Ukląkł i obmacał od spodu biurko i krzesła. Następnie sprawdził gzymsy nad oknami i drzwiami. Poszukał za szafkami. Potem odsunął róg dywanu. Jego uwagę przyciągnęła jedna z desek; była nieco krótsza od pozostałych i różniła się od nich barwą. Podważył drewno paznokciami i uniósł je nieco. Pod deską znajdowało się pudełko z kluczami.

- Nie popisał się pan sprytem, panie Barron - mruknął Jupe. Sięgnął po trzy klucze na metalowym kółku i otworzył sejf.

Jego oczom ukazały się pokryte aksamitem pudełeczka. W tego rodzaju etui przechowywano zazwyczaj biżuterię. Jupe uchylił wieczko jednego z niewielkich futerałów. Oslupiał na widok szmaragdów, diamentów i rubinów. Po kolei otwierał aksamitne pudełeczka. W sejfie było mnóstwo naszyjników, pierścionków, wysadzanych drogimi kamieniami zegarków, brosz i bransolet. Klejnoty wydały się Jupiterowi nieco staromodne. Domyślił się, że to rodzinna biżuteria, która dawniej należała do matki pana Barrona.

Obecna właścicielka kosztowności nie miała pojęcia, że mąż zabrał je z bankowego sejfu i przywiózł do rezydencji. Czy Charles Barron zdradził komuś ten sekret? Biżuteria stanowiła łakomy kąsek, ale czy warto było dla niej montować niezwykle zawiłą intrygę?

Jupe nie sądził, aby to się opłacało. Ciekaw był, dlaczego pan Barron przeniósł klejnoty do rezydencji. Po chwili doszedł do wniosku, że to kolejny dowód na to, iż milioner nie ufa ani ludziom, ani stworzonym przez nich instytucjom. W świecie, gdzie brak pewności jutra, nawet banki nie zasługiwały na zaufanie. Charles Barron wierzył tylko sobie. Inwestował jedynie w złoto i ziemię.

Jupe starannie zamknął sejf i podszedł do sekretery. Wsunął do zamka drugi z kluczy umieszczonych na metalowym kółku. Odsunął drewnianą żaluzję i natychmiast spostrzegł metalowy przedmiot znaleziony na łące. Wziął go do ręki i przez chwilę oglądał z uwagą, a potem odłożył na miejsce. Usiadł na obrotowym krześle i zaczął przeglądać niezliczone książeczki czekowe.

Każda z nich była wystawiona przez inny bank. Jeden z nich miał siedzibę w Milwaukee, pozostałe w Lake City, Nowym Jorku, Illinois. Wszystkie konta zostały niedawno zbilansowane i zamknięte. Pozostało tylko jedno. Na książeczce czekowej widniała nazwa banku z siedzibą w Santa Barbara. Ostatni wyciąg z konta pokazywał czarno na białym, że milioner Charles Barron ma na bieżącym rachunku zaledwie dziesięć tysięcy dolarów.

Jupe zabrał się do przeglądania poprzednich wyciągów i aż zagwizdał ze zdumienia. Przez ostatnie dwa lata na rachunki rozmaitych firm w Santa Barbara wpłynęły miliony dolarów. Barron wypisał mnóstwo czeków. Wydał olbrzymie sumy na sprzęt potrzebny do prowadzenia farmy. Kupił tony żywności, zgromadził ogromne zapasy paliwa, nabył wiele aut; płacił spore rachunki za ich przeglądy i reperacje. Dzięki Barronowi sporo zarobiły firmy instalujące systemy irygacyjne, a także składy materiałów budowlanych, które dostarczyły na farmę całe góry żwiru, piasku i cementu. Właściciel rancza Valverde wydał krociowe sumy, by dostosować posiadłość do swoich potrzeb.

Płacił też wielkie rachunki nadchodzące z firm, o których Jupiter niewiele umiał powiedzieć. Dziesięciokrotnie pojawiła się spółka pod nazwą "Peterson, Benson & Hopwith". Kwoty wahały się od pięćdziesięciu do dwustu tysięcy dolarów. Sumy zapierające dech w piersiach otrzymało od Barrona przedsiębiorstwo wyspecjalizowane w sprzedaży znaczków.

Jupe zmarszczył brwi i wpatrywał się w zagadkowe czeki. Nic nie wskazywało na to, by pan Barron był zapalonym filatelistą. Jego żona wyraźnie podkreśliła, że nie są kolekcjonerami i nie trzymają w domu żadnych cennych zbiorów.

Oprócz książeczek czekowych Jupe znalazł też inne dokumenty finansowe - między innymi raporty pewnej firmy maklerskiej z Los Angeles. W ciągu ośmiu miesięcy Barron sprzedał za jej pośrednictwem akcje warte ponad dwa miliony dolarów. W sprawozdaniach

nie było wzmianki o zakupie innych papierów wartościowych. Barron jedynie sprzedawał, a maklerzy działający w jego imieniu po każdej transakcji przesyłali klientowi czek.

Jupe odłożył raporty na miejsce i zabrał się do przeglądania kolejnego stosu papierów. Były to faktury i rachunki za sprzęt dostarczony na farmę. Jupe nie wierzył własnym oczom. Barron zainwestował w swoją twierdzę ogromne sumy. Pieniądze wydane na ręcznie kute meble ogrodowe wystarczyłyby na urządzenie sporego domu od piwnicy po strych.

Jedna z faktur wywołała uśmiech na twarzy chłopca. Barron zamówił czterdzieści trzy metalowe krzesła z deseniem wyobrażającym szwedzki bluszcz i dziesięć stolików z podobnymi ozdobami. Zostały wykonane ręcznie wedle precyzyjnych wskazówek klienta. Kował obiecał dostarczyć meble na ranczo Valverde w ciągu trzech miesięcy od podpisania umowy.

Każdy milioner ma przewrócone w głowie, pomyślał Jupe. Ci ludzie wydają górę forsy na wątpliwej urody meble ogrodowe, chociaż w pierwszym lepszym sklepie znaleźliby wiele ciekawych wzorów. Nic z tych rzeczy; u Charlesa Barrona wszystko musi być tak jak sobie zaplanował. Na pewno miał spore zastrzeżenia do mebli z katalogów i sklepów.

Jupiter starannie złożył faktury i zamknął drewnianą roletę sekretery. Przez moment siedział bez ruchu. Nie dawało mu spokoju przekonanie, że przed chwilą trafił na niesłychanie ważny trop. Gdy próbował bliżej określić to nieuchwytne przecucie, usłyszał ciężkie kroki na werandzie.

Ktoś otworzył tylne drzwi i wszedł do domu. Tupanie zabrzmiało w korytarzu wiodącym z kuchni na schody. Osobą buszującą po opustoszałym domu z pewnością nie była pani Barron!

Jupe zerwał się na równe nogi, bezszelestnie pomknął do skrytki w podłodze i wrzucił do niej klucze. Zasłonił otwór ruchomą deską i przykrył dywanem.

Intruz przeszedł z jadalni do holu.

Jupe rozejrzał się bezradnie po gabinecie. Odgłos ciężkich kroków rozległ się na schodach. Detektyw zrozumiał, że jest za późno, by wybiec do korytarza i dopaść tylnych schodów, nie będąc widzianym. Znalazł się w pułapce!



## ROZDZIAŁ 11

### Bob podejmuje ryzyko

Po rozstaniu z Jupiterem Bob i Pete ruszyli przez cytrusowy sad. Wkrótce dotarli do płotu, który stanowił południową granicę posiadłości Barrona. Chłopcy przyczaili się za żywopłotem z oleandrów, który rósł tuż za ogrodzeniem, i przez szpary obserwowali drogę.

Wśród dzikich zarośli po drugiej stronie szosy ujrzeli wojskowy namiot rozbity na wprost bramy. Dwaj mężczyźni w mundurach siedzieli na trawie przed namiotem i popijali z metalowych kubków, nie zwracając uwagi na wartownika czuwającego przy ogrodzeniu, który w ogóle na nich nie patrzył. Oparł się o słup, trzymając broń w pogotowiu. Stał tyłem do chłopców ukrytych w krzakach na lewo od bramy.

Pete w milczeniu pociągnął Boba za rękaw i wskazał dużą skrzynkę wiszącą na drzewie obok wojskowego namiotu.

- Co to jest? - szepnął Bob.

- Nie jestem pewny, ale wygląda to na telefon polowy - odparł Pete.

W tej samej chwili - jakby dla rozwiania ich wątpliwości - rozległo się ciche brzęczenie. Jeden z żołnierzy wstał i podszedł do drzewa. Podniósł słuchawkę i rozmawiał przez chwilę. Chłopcy nie słyszeli jego głosu.

- Ale heca! - mruknął Bob. - Panu Barronowi powiedzieli, że ich telefon nie działa.

Bob nadstawił uszu, daremnie próbując złowić strzęp rozmowy. Obozowisko było zbyt odległe. Od czasu do czasu udawało mu się zrozumieć pojedyncze słowa. Po kilku minutach żołnierz odłożył słuchawkę i powiedział coś do swego kompana. Obaj wybuchnęli śmiechem. Zamilkli na widok jednego z ludzi Barrona; widoczny przez solidne pręty strażnik patrolował teren farmy, idąc wolno ze wschodu na zachód między ogrodzeniem a żywopłotem.

Mężczyzna przyglądał się obozowisku po drugiej stronie drogi. Przystanął, by zamienić kilka słów z wartownikiem pilnującym bramy i ruszył dalej.

- Lepiej odejźmy od żywopłotu - zaproponował szeptem Pete. - Idę o zakład, że za chwilę z drugiej strony nadejdzie inny patrol.

Chłopcy wycofali się do pobliskiego zagajnika, w którym przeważały dorodne eukaliptusy. Zgodnie z przewidywaniem młodego detektywa wkrótce pojawił się kolejny strażnik, zmierzający do bramy z przeciwnej strony. Ledwie odszedł, szosą nadjechał dżip, który wolno minął wjazd na ranczo. Ruszył na zachód, nie zatrzymując się przy obozowisku.

Dwaj ludzie siedzący w aucie omijali wzrokiem znieruchomiałego wartownika; on również ich zignorował.

- Ani jedni, ani drudzy nie mają ochoty na pogawędkę - mruknął ironicznie Pete.

- Wiele bym dał, żeby się dowiedzieć, o czym rozmawiają żołnierze siedzący przed namiotem - wyznał Bob. W zamyśleniu popatrzył na płot, a następnie zerknął raz i drugi na drogę.

- Przedostanę się przez ogrodzenie - rzucił nagle.

- Proszę? - Zdziwiony Pete gapił się na przyjaciela oczyma wielkimi jak filiżanki.

- Powiedziałem, że chcę przeskoczyć ogrodzenie - powtórzył z naciskiem Bob. - Spójrz, za obozowiskiem droga zakręca. Ani wartownik pilnujący bramy, ani żołnierze nie będą mnie widzieć, jeśli tam dotrę. To miejsce jest poza zasięgiem ich wzroku. Drzewa rosną gęsto. Jeśli nawet pan Barron umieścił nad urwiskiem wartownika i kazał mu obserwować teren, i tak pozostanę nie zauważony.

Pete najwyraźniej miał co do tego spore wątpliwości. Bob był najdrobniejszy z trójki detektywów. O wiele lepiej radził sobie z prowadzeniem dokumentacji niż z zadaniami, które wymagały siły fizycznej i dobrej kondycji. Peter był wprawdzie silny i wysportowany, ale nie palił się do ryzykownych przedsięwzięć.

- Jeżeli mi się uda przeciąć drogę i przycupnąć w zaroślach - przekonywał Bob - zajdę obozowisko od tyłu. Chyba zdołam podejść dostatecznie blisko, by podsłuchać rozmowę tych facetów.

- A jeśli cię złapią, gdy będziesz ich szpiegował? - niepokoił się Pete. - Mogą cię nieźle poturbować.

- Będę wrzeszczał na całe gardło - zapewnił Bob. - Wtedy zaalarmujesz strażnika, który przybiegnie z karabinem, żeby mnie odbić. Pan Barron z pewnością się wścieknie, ale głowy mi nie urwie.

- Nie byłbym tego taki pewny - burknął Pete.

- Gdyby Jupe znalazł się na moim miejscu, na pewno by poszedł - uciął dyskusję Bob i przemknął wśród eukaliptusów w stronę żywopłotu z oleandrów. Skulił się, żeby nie spostrzegł go wartownik czuwający przy bramie, po czym pobiegł wzdłuż ogrodzenia. Gdy znalazł się w miejscu, gdzie konary drzew niemal dotykały płotu, wyprostował się i wystawił głowę z zarośli. Popatrzył na lewo; nie widział już bramy ani obozowiska, które zniknęło za rogiem. Spojrzał na prawo; droga wydawała się pusta. W zasięgu wzroku nie było żadnego strażnika.

Bob przecisnął się wśród oleandrów i zaczął mozolną wspinaczkę po ogrodzeniu. Nie

miał czasu zerkać na boki. Gdy dotarł do szczytu, natychmiast zeskoczył na ziemię.

Przeciął pustą drogę i skrył się w dzikich zaroślach po drugiej stronie. Maszerując wśród gęstych krzaków natknął się wkrótce na koryto wyschniętego potoku; płytki wąż biegł równoległe do drogi. Bob wskoczył do niego i stapał cicho po suchym piasku.

Wkrótce przystanął i zaczął nasłuchiwać. Dobiegł go szmer ludzkich głosów. Detektyw uznał, że znajduje się na tyłach wojskowego obozowiska. Wypełzył ostrożnie z parowu. Znalazł się na zboczu niewysokiego, porośniętego trawą pagórka, który zasłaniał mu namiot. Bob przypadł twarzą do ziemi i nasłuchiwał. Nadał nie był w stanie rozróżnić słów. Męskie głosy zlewały się w niewyraźny pomruk. Uniósł się na łokciach i kolanach, a potem wyjrzał ostrożnie zza gęstych krzaków. Uznał, że stanowią dostateczną osłonę; zaczął się bezszelestnie czołgać w stronę namiotu.

Drżał z wysiłku, pełzając wolno po zboczu, ale nie zatrzymał się ani na chwilę. Był coraz bliżej namiotu. Uważał na ręce i nogi, by nie strącić jakiegoś kamyka, nie złamać suchej gałązki.

- Partacze! Patałachy! - dobiegły go wyzwiska jednego z mężczyzn.

Znieruchomiał i przypadł do ziemi, nadstawiając uszu.

- Mam ochotę kopnąć ich w tyłek - oznajmił drugi mężczyzna. - Za bardzo zadzierają nosa.

Bob leżał płasko wśród kęp dorodnej szałwi. Wstrzymał oddech i wyjrzał zza ukwieconych łądyg.

- Golnij sobie - rzucił głośno pierwszy mężczyzna.

Bob spostrzegł, że niższy z żołnierzy sięga po płaską butelkę, którą podał mu kolega. Napełnił blaszany kubek i postawił ją na ziemi.

Poła namiotu odchyliła się nagle. Bob ujrzał porucznika Ferrante'a, który zmarszczył brwi na widok swoich podwładnych.

- Co się dzieje, Al? - zapytał oficer. - Obiecałeś, że nie będziesz pił. Ty również, Bones.

- Czy łyk alkoholu może komuś zaszkodzić? - odparł zaczepnie Al. - Przecież nic się nie dzieje.

- Nie trzeba nam tu pijaków! - powiedział ostro Ferrante. Chwycił butelkę i rzucił ją w krzaki.

- Ej, stary, chyba przesadziłeś!

- Nie sądzę - odparł Ferrante. - Rusz głową. Facet pilnujący bramy może donieść Barronowi, że widział, jak złopiecie wóde. Rusz głową, durniu! Macie udawać

amerykańskich żołnierzy pełniących zaszczytną służbę dla ocalenia kraju i współobywateli.

- Spełniło się moje największe marzenie - mruknął ironicznie Bones. - Bronię ojczyzny!

- Wiem, że nie jest wam łatwo...

- Jasne, ty masz to we krwi - przerwał Bones. - Jesteś przecież facetem z klasą! Skoro taki z siebie cwaniak, po co ta cała awantura z końcem świata i najazdem kosmitów?

- Słuchaj, jedziemy na tym samym wózku, więc nie udawaj głupszego, niż jesteś - odciął się Ferrante. - Zrobimy to dokładnie tak, jak zaplanowałem, albo zwijamy interes. Zachowuj się przyzwoicie albo zabieraj manatki, wracaj do Saugus i gnij tam do końca życia. To bardzo trudne przedsięwzięcie. Nie pozwolę, żebyście wszystko zepsuli.

- Dlaczego robimy tyle zamieszania? - marudził Bones. - Mamy dość ludzi. Jedźmy na rancho. Bez trudu zmusimy starego Barrona, żeby wszystko wyśpiewał.

- Mamy dość ludzi? - powtórzył Ferrante. - Zapomniałeś, że musielibyśmy pokonać pięćdziesięciu uzbrojonych po zęby facetów. Nie udawaj, że nie wiesz o arsenale, który Barron urządził sobie na farmie. Jego ludzie wiedzą, do czego służy karabin. To nie jest banda zastraszonych chłopów.

- Odpal im niewielką dołę, a przejdą na naszą stronę, nim zdążysz policzyć do trzech - rzucił Bones.

- To się nie uda - odparł Ferrante. - Gadałem już z tymi ludźmi. Zaczepiałem ich niby przypadkiem w barze albo na targu. To banda prostaków. Są święcie przekonani, że póki Barron rządzi na farmie, nie zabraknie im roboty i forsy. Boją się jak ognia wszelkich zmian.

- Sądziś, że gdyby przyszło co do czego, staną w obronie tego dziwaka? - zapytał Bones.

- Gdyby atak na starego oznaczał zagrożenie ich stanu posiadania, będą się bić - oznajmił z naciskiem Ferrante. - Plan, który obmyśliłem, to jedyny sposób, żeby dostać to, czego chcemy. Barron już połknął haczyk, więc trzymajcie nerwy na wodzy. Ten facet nie wygląda na idiotę, a poza tym jest drażliwy jak grzechotnik w czasie burzy.

Znowu rozległo się brzęczenie telefonu. Ferrante chwycił słuchawkę.

- Co tam? - rzucił z niepokojem. Słuchał w napięciu, a następnie powiedział: - Dobrze. Zadzwonił, gdyby sytuacja się zmieniła. Odłożył słuchawkę i popatrzył na współników.

- Barron wyjechał na popołudniowy objazd farmy - oznajmił. - Robotnicy są na polach. Pracują normalnie, jakby nic się nie zdarzyło. Wszystko idzie tak, jak przewidywaliśmy.

- Moim zdaniem drepjemy w miejscu - odparł naburmuszony Al.

- Czego się spodziewałeś? Że Barron narobi w portki ze strachu? - zapytał Ferrante. - To jest twardy facet.

Rzekomy porucznik odwrócił się, poszedł do namiotu i opuścił brezentową połę.

- Myśli, że jest genialny jak Napoleon - rzucił złośliwie Bones. Oparł się plecami o spory kamień i przymknął oczy. Al nie odpowiedział na tę uwagę. Bob uznał, że czas zmykać. Czołgał się jeszcze wolniej i ostrożniej niż za pierwszym razem.

Po kilku chwilach stanął ponownie na ziemi pana Barrona, gdzie poczuł się względnie bezpieczny. Odnalazł wystraszonego Pete'a, który czekał wśród eukaliptusów.

- Dowiedziałeś się czegoś? - wypytywał niecierpliwie.

- Same rewelacje! - rzucił Bob. - To oszuści. Niektórzy z nich chcieliby zaatakować farmę. Trzeba jak najszybciej odnaleźć Jupe'a!

Popędzili w stronę budynków. Gdy wypadli z cytrusowego sadu na wielki trawnik przed rezydencją Barronów, stanęli jak wryci, gapiąc się okrągłymi ze zdziwienia oczami na wielki dom.

Jupiter tkwił na dachu werandy, plecami do ściany, w panice obserwując otwarte narożne okno. Znajdował się w odległości kilku centymetrów od unoszonej powiewami wiatru firanki. Chłopcy popatrzyli na twarz kolegi i ujrzeli na niej purpurowe rumieńce. Zastanawiali się, czy wywołało je zakłopotanie, czy też poczucie bezsilności.

- Musimy coś zrobić - rzucił Pete - i to szybko!

## ROZDZIAŁ 12

### Burza mózgów

Pete energicznie pomachał ręką Jupe'owi i biegiem ruszył przez trawnik w stronę drogi. Bob pędził za nim, nie mając pojęcia, co wymyślił przyjaciel. Wyższy z chłopców biegł niestrudzenie, aż stanął na zwirowej alei między rezydencją Barronów a skromnym wiejskim domem. Z tego miejsca nie widzieli stojącego na dachu werandy Jupitera.

Pete zatrzymał się i odwrócił na pięcie.

- Jeśli zrobisz to po raz drugi, wybiję ci zęby! - krzyknął do Boba, który osłupiał ze zdziwienia.

- Co ty! - odparł niepewnie.

- Mam tego dosyć! - wrzeszczał Pete. - Dobrze wiedziałeś, co robisz!

Pete przyskoczył do kolegi i popchnął go lekko.

- Rusz się! - krzyknął. - Stłukę cię na kwaśne jabłko!

- Och! - Bob zrozumiał, w czym rzecz, i zacisnął pięści. - Zobaczymy!

- Chłopcy, przestańcie! - krzyknęła Elsie Spratt, wychylając się z kuchennego okna. - Dosyć tego! Pożałujecie, jeśli mnie nie posłuchacie.

Po chwili na schodach wiejskiego domu rozległ się tupot jej kroków. Wkroczyła śmiało na pole bitwy, chwyciła Boba za ramię i odciągnęła na bezpieczną odległość. Pete stał w miejscu.

- Co tam się dzieje? - dobiegł ich z góry burkliwy głos.

Chłopcy podnieśli głowy. Charles Barron spoglądał na nich ponuro z narożnego okna pokoju na pierwszym piętrze rezydencji.

- Nic ważnego, proszę pana - zbagatelizowała całe zajście Elsie. - Chłopcy nie mogli się ze sobą dogadać. To częste w ich wieku.

W tej samej chwili zza rogu wielkiego domostwa wyłonił się Jupiter. Był rozczochrany i brudny, ale uśmiechnięty od ucha do ucha.

- Co to, jakieś kłopoty? - rzucił domyślnie.

- Nic poważnego - odparła Elsie i pomaszerowała do kuchni. Barron cofnął głowę, po czym zatrzęsnał okno. Chłopcy wymienili porozumiewawcze uśmiechy i pospiesznie oddalili się od rezydencji.

- Dzięki za odwrócenie ich uwagi. Mogłem spokojnie zleźć z dachu - powiedział Jupe. Usiadł pod eukaliptusem w lasku za domem Baronów. Dwaj koledzy przykucnęli obok niego.

- Pani Ernestyna musiała niespodziewanie wyjść. Rozglądałem się po gabinecie Barrona, gdy usłyszałem jego kroki na schodach. Było za późno na ucieczkę przez drzwi, więc musiałem wyjść oknem na dach werandy. Utknąłem tam na dobre. Barron kręcił się po gabinecie. Bałem się, że usłyszy albo zobaczy, jak złażę, i wszystkiego się domyśli.

- Znalazłeś coś ciekawego? - wypytywał Pete.

- Sam nie wiem. Muszę to wszystko przemyśleć. A jak wam poszło? Dowiedzieliście się czegoś o tych żołnierzach patrolujących drogę?

- Jasne! - rzucił skwapliwie Pete. - Ci faceci kłamią jak z nut. Telefon polowy wcale nie przestał działać. Dwukrotnie ktoś do nich dzwonił. Porucznik wypytywał o sytuację na farmie i powiedziano mu, że pan Barron wybrał się na popołudniowy objazd posiadłości. Bob słyszał to na własne uszy.

- Proszę, proszę! - zawołał Jupe. - A zatem mamy do czynienia ze spiskiem przeciwko Barronowi, w który jest zamieszany ktoś z jego pracowników!

- Owszem - potwierdził Bob. - Faceci w mundurach, którzy podają się za wojskowych, nie mają z armią nic wspólnego. To zwykli oszuści. Dwaj siedzący przed namiotem, rzekomo na warcie, żłopali wódkę jak herbatę, a gdy porucznik zwrócił im uwagę, żeby tego nie robili, zaczęli pyskować. Szeregowcy nie zachowują się tak wobec oficera, prawda?

Jupe przytaknął skinieniem głowy.

- Nasz porucznik zapowiedział im, że jeśli nie będą postępować zgodnie z jego wskazówkami, mogą wracać do Saugus. Droga wolna! Jeden z nich zapytał wówczas, czemu zadają sobie tyle trudu, skoro mają dość ludzi, by zaatakować farmę i zmusić Barrona, żeby wszystko wyśpiewał.

- Ponura perspektywa - wtrącił Jupe.

- Pewnie - zgodził się Bob. - Porucznik odparł, że Barron ma tutaj prawdziwy arsenał i w razie ataku uzbroi swoich pracowników, którzy staną za nim murem. Czy ten facet rzeczywiście zgromadził na farmie tyle broni?

- Owszem. Trzyma ją w piwnicy. - wyjaśnił Jupe. - Zastanawiam się, skąd u Ferrante'a ta pewność, że pracownicy staną w obronie szefa.

- Twierdził, że próbował ich wy badać, nim przystąpił do realizacji planu - odparł Bob. - Część z nich jeździ do miasta, miał więc sposobność, by z nimi pogadać. Powiedział, że cieszą się tym, co mają, i gotowi są walczyć w obronie własnego stanu posiadania.

- Doskonale! - odparł zadowolony Jupe. - Możemy wyłączyć najemnych pracowników farmy z kręgu podejrzanych. Potwierdza się moje pierwsze wrażenie. To

zwykli robotnicy rolni, którzy osiedli na stałe w posiadłości. Ci ludzie nie szukają guza. Z drugiej strony zyskaliśmy pewność, że Ferrante ma tu szpiega. Ktoś mu doniósł o broni składowanej w piwnicy. Porucznik dowiedział się o popołudniowej inspekcji Barrona. Czy Ferrante wymienił jakieś nazwisko? Kto to jest? Detweiler? Aleman? Banales?

- A Elsie Spratt i Mary Sedlack? - wtrącił Pete. - To wcale nie musi być mężczyzna, prawda?

- Właściwie powiedziałem już prawie wszystko, co usłyszałem - ciągnął Bob. - Zdaniem Ferrante'a pan Barron połknął haczyk. Zaczyna wierzyć, że naprawdę widział statek kosmitów. Porucznik ostrzegł współpracowników, by zachowali ostrożność i nie popsuli mu szyków. Przypomniawszy, że Barron to cwany gość, nieufny i drażliwy niczym grzechotnik.

- A więc Ferrante wie, że Charles Barron zmienił poglądy w kwestii latających talerzy i kosmitów? - dziwił się Jupe. - Proszę, proszę! Zatem szpieg działa w kręgu najbliższych współpracowników milionera. Ferrante i jego kompani chcą... Oczywiście! Chcą zagarnąć jego złoto! To jasne jak słońce! Powinienem się od razu domyślić!

- Złoto? - wypytywał oszołomiony Bob. - Jakie złoto?

- Skarb, który Charles Barron ukrył w swojej posiadłości - oznajmił tryumfalnie Jupe.

- Znalazłeś tu złoto? - zapytał Pete.

- Nie, ale jestem pewny, że Barron przechowuje na farmie dorobek całego życia. Przeglądałem dokumenty, z których wynika, że sprzedał akcje warte miliony dolarów. Zlikwidował również konta w kilku bankach. Pozostawił sobie tylko jedno. Przechodzą przez nie ogromne sumy.

Gdybyśmy zadzwonili do firm, którym ostatnio wypłacił ciężką forszę - dodał Jupe - prawdopodobnie okazałyby się, że handlują złotymi sztabkami i monetami. Jedno z przedsiębiorstw zajmuje się głównie sprzedażą znaczków pocztowych, ale wiadomo, że w tego rodzaju ofercie uwzględnia się również cenne numizmaty. Pamiętacie, jak Barron perorował, że warto inwestować jedynie w ziemię i złoto?

- Jasne! - krzyknął Bob. - Wszystko się zgadza! Spieniężył papiery wartościowe, żeby kupić złoto!

- Oczywiście! - przytaknął Jupe. - Trzyma je tu, na terenie posiadłości, bo nie ma zaufania do banków. Odkryłem, że zrezygnował nawet z sejfów w Santa Barbara. Pani Barron jest przekonana, że jej biżuteria spoczywa w podziemnym skarbcu daleko stąd, a tymczasem mąż cichaczem przeniósł kosztowności do skrytki w swoim gabinecie.

Skoro my odkryliśmy, gdzie pan Barron trzyma dorobek swego życia, inni również mogli się tego domyślić. Idę o zakład, że oszuści chcą ukraść złoto. Prawdopodobnie



zainscenizowali start latającego talerza, by nakłonić Barrona do ujawnienia kryjówki, w której przechowuje skarb.

- To nie ma sensu! - mruknął Pete.

- Czysty idiotyzm - przyznał Jupe - ale nie przychodzi mi do głowy inne wyjaśnienie.

- Powiemy Barronowi, czego się dowiedzieliśmy? - zapytał Bob.

- Z pewnością wtajemniczymy panią Ernestynę - odparł Jupe. - Jest przecież naszą klientką. Potrafi rozmawiać z mężem. My nie zdołamy go przekonać.

- Co dalej? - zapytał Bob. - Poszukamy drugiego telefonu polowego? Gdybyśmy znali kryjówkę, moglibyśmy się dowiedzieć, kto go używa.

- To strata czasu - uznał Pete. - Posiadłość jest ogromna. Szukalibyśmy igły w stogu siana.

- Nie sądzę, żeby trzeba było przeszukać całe ranczo - odparł Jupe, skubiąc w zamyśleniu dolną wargę. - Tajemniczy szpieg na pewno umieścił telefon polowy tak, by mógł... lub mogła... z niego korzystać, nie rzucając się w oczy innym mieszkańcom farmy. W budynku łatwiej znaleźć dobrą skrytkę.

- Na ranczu jest mnóstwo pomieszczeń - przypomniał z ponurą miną Pete. - Nie zapominaj, że ludzie kręcą się tu jak mrówki w ukropie. Nie ma chwili spokoju.

Trzasnęły wejściowe drzwi wiejskiego domu. Elsie Spratt zeszła po kuchennych schodach. Niosła na ramieniu niebieską sukienkę. Uśmiechnęła się na widok chłopców i wskazała ręką jedną z chat stojących przy alei.

- Idę do pani Mirandy - oznajmiła. - Pomoże mi skrócić spódnicę. Mam nadzieję, że zdążę ubrać się w nowy ciuch, nim nastąpi koniec świata. W lodówce zostawiłam mleko i ciasteczka na wypadek, gdybyście zgłodnieli.

Chłopcy podziękowali uprzejmie. Gdy Elsie zniknęła w domu Mirandy, Pete uśmiechnął się szeroko do kolegów.

- Założę się, że dom jest zupełnie pusty - oznajmił. - Elsie poszła skrócić sukienkę, pozostali mieszkańcy są w pracy. Może się trochę rozejrzemy?

- Zgoda, ale nie sądzę, żeby ktoś tu ukrył telefon polowy. Za duże ryzyko - stwierdził Bob.

- Pokaż, jak mieszkasz, a powiem ci, kim jesteś -- rzucił sentencjonalnie Jupe. - Jedna z rezydujących tu osób szpieguje dla szajki Ferrante'a! Bierzmy się do roboty!

## ROZDZIAŁ 13

### Wiadomość z kosmosu

Chłopcy w pośpiechu rozglądali się po pustym domu, nasłuchując pilnie w obawie, że ktoś nadejdzie i zaskoczy ich podczas myszkowania w cudzych pokojach. U Hanka Detweilera znaleźli kilka pucharów i nagród zdobytych podczas zawodów rodeo w konkurencji chwytania cieląt. Między nimi poniewierał się dowód rejestracyjny półciężarówki marki Ford. Nic nie wskazywało na to, by zarządca pisał listy lub otrzymywał korespondencję.

- Samotnik - podsumował Jupe. - Dobra materialnie oraz wspomnienia niewiele znaczą dla tego faceta. Cały jego dobytek zmieści się w plecaku.

- Z tego wniosek, że Hank nie połaszczyłby się na cudze złoto, prawda? - dodał Pete.

- Nie przesądzajmy faktów - odparł Jupe, wzruszając ramionami. - Może Detweiler to skąpiec i dusigrosz, a może naprawdę lubi spartańskie życie.

Chłopcy przeszli do pokoju Johna Alemana. Ujrzeni tam mnóstwo półek wypełnionych książkami. Była to niemal wyłącznie literatura fachowa dotycząca systemów hydraulicznych, elektryczności, urządzeń pneumatycznych oraz metod projektowania. Pod łóżkiem Pete znalazł pudło wypełnione tanimi książkami z dziedziny szeroko pojętej fantastyki naukowej.

- Ma tu "Wszystko już było" Korsakova - oznajmił Pete, kartkując zniszczony tomik. - To autor książki, o której wspomniała pani Barron.

- Chodzi ci o "Światy równoległe"? - wtrącił Jupiter. - Tak, masz rację.

- Niezła biblioteczka - oznajmił Bob, grzebiąc w książkach. Wyjął z pudła kilka tomów i głośno odczytał tytuły: - "Kosmos przeludniony", "Czarne dziury i znikające cywilizacje"... Sporo tego nazbierał.

- Nie przypuszczałem, że w przestrzeni kosmicznej zrobiło się tak tłoczno - mruknął Pete.

- A ja nie sądziłem, że na starej Ziemi tylu jest pisarzy, którzy mieli okazję przekonać się o tym na własne oczy - stwierdził Bob. - Czy zainteresowania Alemana to ważny trop? Sądzicie, że facet czyta relacje dotyczące kosmitów, żeby łatwiej manipulować Barronami?

To chyba nie ma sensu - ciągnął Bob. - Gdyby ci farbowani żołnierze naprawdę chcieli obrabować Barrona, znaleźliby inny sposób. Przecież tylko pani Ernestyna ma bzika na punkcie kosmitów. Dlaczego oszustom tak zależy, by jej mąż uwierzył w latające talerze?

- Na pewno rozumieją, że Barron nie da sobie mydlić oczu - zastanawiał się głośno Jupe. - Zainscenizowali start latającego spodka bardzo przekonująco. Barron ujrzał odlot kosmitów na własne oczy.

- Jupe, a może pan Charles ma rację, wierząc w ich istnienie - wtrącił Pete tknięty nagłym niepokojem. - A jeśli to my jesteśmy w błędzie? Może widzieliśmy prawdziwy statek kosmiczny?

- Wykluczone - odparł Jupe. - Gdyby pojazd był autentyczny, jak moglibyśmy wytłumaczyć obecność tych oszustów blokujących drogę?

- Sam nie wiem, co o tym myśleć - mruknął Pete. - Nic już nie rozumiem. Po co mieliby inscenizować przybycie kosmitów? Co by im to dało? Dostęp do złota pana Barrona? Jak wieść o przybyciu kosmitów miałaby ułatwić im znalezienie skarbu?

- Gdyby przyszło ci opuścić Ziemię i polecieć na inną planetę - tłumaczył Jupe - co byś zabrał ze sobą?

- Aha! - rozpromienił się nagle Pete. - Teraz rozumiem! Wziąłbym przedmioty, które mają dla mnie największą wartość. Chwileczkę! Nikt jeszcze nie zaprosił Barrona na pokład statku kosmicznego. Nie było mowy o zabieraniu kosztowności.

- Wszystko w swoim czasie. Najpierw muszą go zmiękczyć - wtrącił Bob. Włożył książki do pudła i wsunął je pod łóżko. Doszedł do wniosku, że upodobanie do fantastyki oraz relacji o bliskich spotkaniach trzeciego stopnia nie stanowi dowodu na udział w zręcznej mistyfikacji. Nie było nic zdrożnego w literackich gustach Alemana.

Pokój leżący w głębi korytarza zajmowała Elsie Spratt.

- Ale bałagan - mruknął Pete, ledwie drzwi się uchyliły.

- Racja - przytaknął Jupe, błędząc spojrzeniem po walających się tu i tam buteleczkach, tubkach i fiolkach, otwartych czasopismach, tanich romansach i porzuconych w pośpiechu kapciach. Na toaletce stały flakony perfum, pudełka kremu, a wśród nich leżały szpilki do włosów i kilka różowych wałków z plastyku. W szufladach komody panował podobny bałagan.

Pete ukląkł i zajrzał pod łóżko.

- Czy Elsie też trzyma w pokoju literaturę fantastycznonaukową? - wypytywał złośliwie Bob.

- Nie ma tam żadnych książek. Widzę jedynie kurz i parę butów.

Jupe zainteresował się nocnym stolikiem. Wysunął szufladkę, w której leżały kosmetyki, wałki do włosów i kilka zdjęć.

Pierwszy Detektyw ostrożnie wyciągnął fotografie z szufladki. Jedna z nich

przedstawiała Elsie na plaży, kolejna uwieczniła pannę Spratt siedzącą na szerokich schodach drewnianego domu z małym brzydkim psiakiem na kolanach. Trzecie zdjęcie było większe od pozostałych. Elsie miała na sobie jedwabną bluzkę i zabawny papierowy kapelusik. Siedziała przy stole obok potężnie zbudowanego bruneta. W tle widać było niezliczone baloniki i serpentyny oraz długowłosą blondynkę tańczącą w objęciach szczupłego mężczyzny z brodą.

- To chyba noworoczny bal - stwierdził Bob.

Jupe potakująco skinął głową i schował zdjęcia do szuflady. Zajrzał do szafy, w której kłębiły się ubrania. Po chwili trójka detektywów przeszła do pokoju Mary Sedlack.

Sypialnia dziewczyny, która pełniła na farmie obowiązki weterynarza, była schludna i skromnie urządzona. Na toaletce znaleźli niewiele kosmetyków. Ubrania wisiały równiutko w szafie, a w szufladach panował idealny porządek. Na biurku stała jedynie chińska figurka galopującego rumaka. Półka pod oknem zastawiona była weterynaryjną literaturą fachową. Na nocnym stoliku znaleźli pudełko chusteczek do nosa.

- Ta dziewczyna rzeczywiście ma bzika na punkcie zwierzaków - stwierdził Jupiter.

Chłopcy przeszli do pokoju Banalesa. Po całej sypialni walały się tabele określające terminy prac polowych, listy najpilniejszych zajęć oraz książki dotyczące uprawy i zbiorów.

- Nasza rewizja nie przyniosła żadnych rewelacji - stwierdził Pete.

Młodociani detektywi zeszli po schodach do wielkiego salonu farmerskiego domu. Stały tam podniszczone kanapy i fotele, na których walały się plotkarskie brukowce. W spiżarni odkryli wielkie zapasy żywności. W piwnicy, do której wchodziło się z podwórka, znaleźli tylko pajęczyny i rozmaite owady.

- Zmarnowaliśmy czas. Trudno, bywa i tak - mruknął Jupiter. - Koniec na dziś. Teraz musimy znaleźć panią Barron. Jedno wiemy na pewno: ci żołnierze to zwykli oszuści.

Chłopcy przecięli drogę i weszli na werandę. Jupe zastukał, ale nikt im nie otworzył. Pierwszy Detektyw nacisnął klamkę i uchylił drzwi.

- Dzień dobry! Możemy wejść, proszę pani?

Chłopcy usłyszeli głośny mechaniczny szum dobiegający z jadalni. Po chwili dziwny odgłos ucichł.

- Kto tam? - rozległ się kobiecy głos.

- Jupiter Jones - odparł chłopiec. - Jest ze mną Pete i Bob.

Młodzi detektywi minęli kuchnię i weszli do jadalni. Ujrzeni Mary Sedlack siedzącą przy tranzystorowym radiodbiorniku. Przed nią stał magnetofon.

- Szukacie pani Barron? - zapytała. - Jest na górze. Podejdźcie do schodów i zawołajcie ją. Pewnie zaraz do was zejdzie.

- Złapała pani jakiś program? - zapytał Jupe, wskazując ruchem głowy radioodbiornik.

- Nie, słyhać jedynie szum i trzaski - odparła Mary. - Szef prosił, żebym siedziała przy radiu i prowadziła nasłuch. Mam nagrywać wszystko, co zabrzmie w eterze.

Pokręciła gałką odbiornika. Znowu rozległ się szum. Nagle ucichł. Niewielka grupka słuchaczy nadstawiła uszu. Dobiegł ich przenikliwy głośny pisk.

- Och! - zawołała Mary! - Co się dzieje?

Wcisnęła klawisz magnetofonu. Taśma w kasecie przesuwała się powoli.

- Wzywam Charlesa Barrona - rozległ się niski, dziwnie melodyjny głos. - Wzywam Charlesa Barrona. Mówię z kosmolotu Z-12. Wzywam Charlesa Barrona i Ernestynę Barron. Powtarzam! Kosmolot Z-12 nadaje wiadomość dla Charlesa Barrona. Panie Barron, proszę wysłuchać uważnie wiadomości, które do pana kierujemy.

- Chłopcy! - krzyknęła Mary Sedlack. - To komunikat! Biegnijcie po szefa! Pospieszcie się!

## ROZDZIAŁ 14

### Koniec świata

- Powtarzam - rozległ się znowu tajemniczy głos. - Kosmolot Z-12 wzywa Charlesa Emersona Barrona i Ernestynę Hornaday Barron. Krążymy po orbicie na wysokości trzech tysięcy mil.

Charles Barron i jego żona wpadli do jadalni. Właściciel farmy miał ponurą minę. Wydawał się zaskoczony, a zarazem pełen nadziei. Jak urzeczony wpatrywał się w radioodbiornik. Po chwili usłyszeli niski głos:

- Skanery działające w podczerwieni, zamontowane na pokładzie naszego statku, pozwoliły wykryć niebezpieczne zjawiska zachodzące w głębi skorupy ziemskiej. Za kilka dni nastąpi tragiczne w skutkach trzęsienie ziemi, a potem wybuchy wulkanów gwałtowniejsze niż kataklizmy zdarzające się wcześniej na waszej planecie. Rezultatem tych katastrof będzie przesunięcie osi ziemskiej oraz przemieszczenie wiecznych lodów z Arktyki ku równikowi, a w konsekwencji podniesienie poziomu mórz i oceanów. Wiele miast zniknie pod wodą.

- Ten facet się zgrywa! - krzyknęła Mary Sedlack. - Żartuje sobie z nas, prawda, proszę pani?

Właścicielka farmy nie odpowiedziała. Mary popatrzyła na nią z przerażeniem.

- Proszę coś powiedzieć! - dodała błagalnym tonem. - To głupi dowcip, prawda?

- Najwyższa Rada planety Omega postanowiła ocalić grupę Ziemian przed ostateczną zagładą - ciągnął tajemniczy głos. - Gdy sytuacja na Ziemi nieco się unormuje, uratowani ludzie powrócą, by zbudować nową cywilizację. W gronie wybranych znaleźli się Charles i Ernestyna Barron. Zamierzaliśmy nadać ten komunikat w dniu wczorajszym, lecz pojawiły się istotne przeszkody. Dzisiejszej nocy zakończymy misję ratunkową. O godzinie 22.00 weźmiemy na pokład naszych przedstawicieli realizujących tu ważne zadania. Zwracamy się ponownie do Charlesa i Ernestyny Barronów. Jeżeli starczy wam odwagi, przybądźcie o godzinie 22.00 nad jezioro.

Zabierzcie dobytek, który chcecie ocalić przed zniszczeniem i rabunkiem. Koniec komunikatu.

Zapadła cisza. Po chwili rozległy się trzaski i szumy.

Barron minął pannę Sedlack, wyciągnął ramię i uderzył pięścią w radioodbiornik. Następnie wyłączył magnetofon, wziął go pod pachę i wyszedł z jadalni. Od strony schodów

dobiegło chłopców głośne człapanie.

- Czy moglibyśmy z panią porozmawiać? - zapytał Jupe, zwracając się do pani Barron.

Właścicielka rezydencji wolno pokręciła głową. Była blada jak ściana.

- Nie teraz - wykrztusiła - potrzebuję kilku chwil, by ochłonąć. - Wolnym krokiem ruszyła ku schodom.

Mary Sedlack siedziała nieruchomo. Patrzyła na radioodbiornik niewidzącym wzrokiem.

- Ten komunikat... brzmiał wiarygodnie! - szepnęła.

Nagle zerwała się jak oparzona, gwałtownym ruchem odsunęła krzesło i pobiegła do kuchni. Chłopcy słyszeli, jak woła Elsie Spratt.

- Co ty na to? - Pete rzucił Jupe'owi badawcze spojrzenie.

- Nie martw się. Na ostateczną zagładę trzeba będzie trochę poczekać - odparł chłopiec.

- Jesteś tego pewny? - rzucił nieufnie Pete.

- Najzupełniej - powiedział jego przyjaciel.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - mruknął Pete. Trzej Detektywi wyszli na zalaną popołudniowym słońcem werandę.

Mary i Elsie gdzieś zniknęły. Na zwirowej drodze pojawiły się gromadki mężczyzn i kobiet zmierzających w stronę rezydencji Barronów. Niektórzy nieśli narzędzia rolnicze. Rozmawiali przyciszonymi głosami. Młody człowiek - wyjątkowo poważny i przejęty - skinął głową chłopcom, którzy przyłączyli się do grupy robotników rolnych.

- Chciałbym pana o coś zapytać - rzucił Jupe, dotykając jego ramienia.

- Słucham - odparł pracownik farmy.

- Zastanawiam się, co ludzie mówią o wydarzeniach ostatnich dni. Jakie jest ich zdanie?

Mężczyzna zerknął na kolegów po fachu. Niektórzy poszli w stronę chat, inni zebrali się przed rezydencją Barronów, jakby na coś czekali.

- Ludzie gadają, że będzie koniec świata - odpowiedział niepewnie mężczyzna. - Inni mówią, że to plotki, i twierdzą, że tylko Kalifornia zostanie na wieki zalana wodami oceanu.

- Co sądzą o żołnierzach obozujących koło bramy?

- Podobno wojskowi też się boją. Pociągają z butelki, a oficer ich za to nie ruga. Zresztą oni w ogóle go nie słuchają - rzucił z pogardą i strachem. Dziwne zachowanie wojskowych zdawało się potwierdzać wieści o nieuchronnej katastrofie.

- Czy ktoś zamierza stąd wyjechać? - wypytywał Jupe. - Może ludzie chcą się przenieść do miasta?

- Nie. Pan Barron wszystko nam wytłumaczył. Powiedział, że kto chce, może odejść; droga wolna. Obawia się jednak, że w mieście dojdzie do zamieszek i rozbojów. Sądzi, że cały transport stanie i dlatego szybko zabraknie żywności. Ludzie będą o nią walczyć zębami i pazurami. Szef ma rację. Jeśli zostaniemy na farmie, żarcia nam nie zabraknie.

- Racja - mruknął Jupiter.

Mężczyzna odszedł i przyłączył się do kolegów. Wkrótce ruszyli w stronę chat, mijając Konrada, który właśnie nadchodził od strony parkingu.

- Cześć, Jupe! - zawołał spoglądając ponuro na chłopca. - Byłem na polach. Ten Charles Barron trzyma wszystkich żelazną ręką.

- Tak mówią - odparł Jupe.

- Moim zdaniem powinniśmy ładować się do ciężarówki i jechać do domu - stwierdził Konrad. - Męczy mnie ta bezczynność. Docierają do nas sprzeczne informacje. Nie wiadomo, komu wierzyć. Kiedy znajdziemy się wśród ludzi, szybko wyrobimy sobie własne zdanie.

- Nie martw się, Konradzie - rzucił Jupiter uspokajającym tonem. Potężnie zbudowany blondyn popatrzył na chłopca z nadzieją.

- Dowiedziałeś się czegoś? Ktoś nam robi głupi kawał, co?

- Zgadłeś - odparł Jupe. - Do tej pory żywiłem tylko niejasne podejrzenie, ale gdy usłyszałem komunikat rzekomych kosmitów, nabrałem pewności.

- O co chodzi z tym komunikatem? - dopytywał się Pete. - Brzmiał autentycznie... o ile ktoś wierzy w latające talerze.

- To ordynarny plagiat - oznajmił Jupe. - W ubiegłym tygodniu pojawił się w telewizji film "Syndrom Saturna". Oglądaliście? Był w nim motyw ogólnoświatowej katastrofy. Kosmici zawiadamiają naukowca oraz jego córkę, że przyjmą ich na pokład latającego spodka. Nadają komunikat przez radio.

- Naprawdę? - zawołał Bob. - Czy brzmiał podobnie do tego, który usłyszeliśmy przed chwilą?

- Niemal słowo w słowo - zapewnił Jupe. - Autor scenariusza zakładał, że oś ziemską się przesunie, a polarne lody stopnieją.

- Szkoda - westchnął Bob. - Miałem nadzieję, że czekają nas mocne wrażenia.

- Całkiem ci odbiło! - Zirytowany Pete wzruszył ramionami. - Wcale nie mam ochoty patrzeć na koniec świata.



## ROZDZIAŁ 15

### Ostateczne przygotowania

Pete i Bob siedzieli na łózkach w dużej sypialni wiejskiego domu, oczekując Jupitera, który poszedł do rezydencji Barronów. Konrad pozostał w kuchni. Chłopcy prosili go, by nie zdradzał personelowi farmy, że zdaniem Jupe'a jej właściciele byli ofiarami zrzecznej mistyfikacji.

Po kwadransie młodociany detektyw opuścił siedzibę Barronów. Ociężałym krokiem wchodził po schodach. Gdy stanął na progu sypialni, rzucił kolegom ponure spojrzenie.

- Pan Barron ci nie uwierzył - domyślił się Bob.

- Twierdzi, że nie mogłem zapamiętać filmowego komunikatu słowo w słowo.

- Powiedziałeś mu, że twoja pamięć działa jak magnetofon połączony z kamerą wideo? - wypytywał Pete.

- Owszem - zapewnił chłopiec. - Skarcił mnie i uznał, że jestem bezczelny.

- Czasami trudno być chłopcem - westchnął Pete. - Jeżeli dorośli nie chcą przyznać nam racji, mówią, że zachowujemy się bezczelnie.

- Jak zareagował na wiadomość, że wojskowi pilnujący drogi to banda oszustów? - rzucił z irytacją Bob. - Co powiedział na twoją hipotezę, że chodzi im o jego złoto? Rozmawiałeś o tym z Barronem?

- Nie miałem sposobności - odparł zakłopotany Jupe. - Sami wiecie, jak ten facet potrafi zbywać ludzi, jeśli nie przywiązuje wagi do sprawy. Nie dał mi dojść do słowa.

- Udało ci się porozmawiać na osobności z panią Ernestyną?

- Niestety. Barron nie odstępował jej na krok. Zdołałem ją przekonać, że komunikat przybyszów z kosmosu to sprytne oszustwo. Poprosiła, żebym wrócił po kolacji. Będziemy mogli spokojnie porozmawiać. Chce usłyszeć wszystkie argumenty świadczące, że mamy do czynienia z mistyfikacją.

- Ale pech - mruknął Bob. - Zagadka prawie rozwiązana, a tymczasem nikt nie chce z nami gadać!

Na policzkach Jupitera pojawiły się ciemne rumieńce. Dotychczas pochlebiał sobie, że dorośli słuchają z uwagą tego, co ma im do powiedzenia. Tym razem poniósł sromotną klęskę.

- Chyba nadszedł czas, by wtajemniczyć także inne osoby i powiedzieć im o oszustwie, nie sądzisz? - zauważył Pete. - Pracownicy farmy są u kresu wytrzymałości.

Moglibyśmy im zaoszczędzić wielu zgryzot i lęków.

- A przy okazji spłoszyć ukrywającego się wśród nich szpiega? - przypomniał Jupe. - Poza tym Barronowie znaleźliby się wówczas w opałach. Nie można wykluczyć, że zdemaskowani oszuści zdecydują się na jawną napaść w celu zagarnięcia złota.

- Masz rację - przyznał Bob. - Możemy wpaść z deszczu pod rynnę.

- Właśnie - Jupe energicznie pokiwał głową. - Trzeba koniecznie przekonać Barronów, że wiemy, co jest grane. Z panią Ernestyną nie będzie problemu. Jej zdaniem chłopcy w naszym wieku mają głowę na karku. Pan Barron może się upierać przy swoim tylko dlatego, że jego żona skłonna jest nam uwierzyć. Elsie mówiła, że bywa przekorny.

- Drażliwy jak grzechotnik w czasie burzy - mruknął Bob. - To jej własne słowa.

Jupe patrzył na kolegę jak urzeczony.

- O rany! - rzucił niespodziewanie.

- Co się stało? - zapytał Bob.

- Powtórz to, co przed chwilą powiedziałaś - domagał się niecierpliwie Jupe.

- Zacytowałem określenie, którego użyła Elsie, mówiąc o panu Barronie. Twierdzi, że jest drażliwy jak grzechotnik w czasie burzy.

- Niezupełnie. - Jupe uśmiechnął się od ucha do ucha. - Elsie zwykła powtarzać, że taki z niego przyjemniaczek jak grzechotnik w czasie burzy! To bardzo charakterystyczny zwrot!

- Chłopcy! - dobiegł ich głos kucharki. - Chodźcie na kolację!

- Jupe, czuję przez skórę, że coś ci świta - stwierdził Pete.

- Później o tym porozmawiamy - obiecał Jupe.

Gdy weszli do kuchni, Elsie nalewała zupę, a Mary Sedlack stawiała na stole grzanki.

- Nareszcie jesteście - ucieszyła się, widząc chłopców. - Opowiedzcie tym niedowiarkom o komunikacie przybyszów z kosmosu. Wygląda na to, że wszyscy uważają mnie za pomyloną.

Jupe zajął miejsce obok Hanka Detweilera. John Aleman i Rafael Banales siedzieli już przy stole. Konrad nie spuszczał z oka zarządcy.

- Komunikat był przeznaczony dla państwa Barronów - potwierdził Jupe. - Nadali go kosmici. Ich statek krąży po ziemskiej orbicie.

- Na waszym miejscu nie opowiadałabym o tym pracownikom farmy - rzuciła Elsie, stawiając przed Pete'em i Bobem talerze napelnione zupą. - Ci ludzie już dostają bzika ze strachu.

- To nie są małe dzieci, Elsie - zaprotestował Hank Detweiler. - Mają prawo wiedzieć,

co się dzieje.

Ponury zarządca wziął do ręki łyżkę i zaraz odłożył ją na stół.

- Szef polecił mi usunąć wartowników z łąki - oznajmił po chwili. - Nie życzy sobie, żeby ktoś się tam kręcił.

Słuchacze przyjęli jego słowa w milczeniu.

- To nie ma sensu! - irytował się Detweiler. - Radziłem mu, żeby umieścić na skraju urwiska kilku dobrze uzbrojonych strażników, ale nie chciał o tym słyszeć. Zapowiedział jasno i wyraźnie, że nikomu nie wolno się tam kręcić. Teraz dowiaduję się od Mary, że całe to zamieszanie zostało spowodowane rychłą zagładą ludzkości i odwiedzinami kosmitów, którzy mają zabrać Barrona na pokład latającego talerza. Moim zdaniem skoro czeka nas koniec świata, wszyscy powinniśmy wiedzieć, czego się spodziewać.

- Zrozum, Hank, gdyby ludzie poznali treść komunikatu, wybuchłaby panika - tłumaczyła Elsie.

- To już się stało - oznajmił Detweiler. - Nasi ludzie nie skaczą sobie do gardeł, bo nie doszło do wybuchu paniki. Nie mają dokąd uciekać. Gdzie znajdą bezpieczniejsze miejsce?

Detweiler rzucił Jupe'owi badawcze spojrzenie.

- Mary twierdzi, że Barronowie mają dziś wieczorem stawić się na łące i wejść na pokład statku kosmitów.

- Owszem - Jupe skinął głową. - Latający talerz przybędzie po nich o 22.00. Kosmici zamierzają ocalić niewielką grupę ludzi; zabiorą też przedstawicieli swojej rasy przebywających na Ziemi. Prawdopodobnie ci osobnicy zaatakowali nas dziś rano. Być może ich zadanie polegało na tym, by zapobiec ucieczkom z rancza Valverde i rozprzestrzenieniu na cały świat wieści o zagładzie Ziemi.

Jupe zabrał się do pałaszowania zupy.

- Zapewne kosmici wolą uniknąć spotkania z tłumem przerażonych ludzi szturmujących ich pojazd - dodał po chwili.

- Zaproсили jedynie Barronów, prawda? - rzucił ironicznie Detweiler.

- W komunikacie tylko oni zostali wymienieni - odparł Jupe.

- Śmiechu warte! - burknął Detweiler. - Dlaczego właśnie Barron? Trudno go uznać za geniusza. Jedyńm atutem tego faceta jest majątek. Czyżby nawet koniec świata stanowił okazję do obnoszenia się z bogactwem?

- To chyba jakiś żart - stwierdził John Aleman. - Ktoś się bawi naszym kosztem. Radio nie działa, ale to nie stanowi żadnego dowodu. Niewiele trzeba, by zakłócić odbiór przy pomocy nadajników radiowych albo wyemitować krótki komunikat. Elsie, na pewno

potwierdzisz to, co mówię. Gdyby tu był twój brat, wytłumaczyłby nam, jak to się robi.

Kucharka nie odpowiedziała. Ręka o zdeformowanym palcu objęła szyję, jakby kobiecie nagle zabrakło powietrza.

- Sam mógłbym nieźle namieszać, gdybym miał odpowiedni sprzęt - rzucił lekceważąco Aleman.

- Zapewne - burknęła Mary Sedlack - ale pozostaje pytanie, dlaczego ktoś zadał sobie tyle trudu i co chciał w ten sposób osiągnąć. Czy warto się tak wysilać dla żartu?

- Czy szef ma wrogów? - mruknął zamyślony Rafael Banales. - Zgromadził spory majątek. Ludzie bogaci na ogół nie cieszą się sympatią. Z drugiej strony nie można wykluczyć, że jakaś kosmiczna cywilizacja rzeczywiście przysłała na Ziemię latający talerz. Prawdopodobieństwo jest całkiem spore. Wielkie katastrofy też się zdarzają. Warunki życia na naszej planecie zmieniały się gwałtownie w przeszłości. Dobrze o tym wiemy. A jeśli mamy do czynienia z takim zjawiskiem? Może rozpoczyna się kolejna era lodowcowa albo ocieplenie klimatu i topnienie wiecznych lodów? Tego nie da się wykluczyć. Gdyby istotnie taka była przyszłość Ziemi, jak się zachować? Uciec w siną dal na pokładzie latającego talerza? Dla mnie takie podejście do sprawy jest nie do przyjęcia. Na pewno odrzuciłbym tę propozycję. Nie chciałbym żyć na planecie krążącej wokół obcego słońca, gdzie niebo nie jest błękitne, a rośliny mają kolor inny niż zielony. Wolę zostać na Ziemi i walczyć o przetrwanie.

- A jeśli nic się nie zdarzy, a statek kosmiczny nie przyleci? - rzucił zaczepnie Detweiler.

- Będziemy mieli dowód, że to był idiotyczny żart - odparł Banales wzruszając ramionami.

Posiłek dobiegł końca w zupełnej ciszy. Chłopcom dopisywał apetyt, lecz mężczyźni zjedli niewiele, a Mary i Elsie w ogóle nie tknęły kolacji.

Po posiłku Trzej Detektywi wyszli przed dom. Uważnie obserwowali rezydencję Barronów. Wkrótce w otwartym oknie ukazała się pani Ernestyna.

- Przyjdźcie na frontową werandę - rzuciła przyciszonym głosem.

Chłopcy spełnili jej prośbę. Przed domem zastali Barrona siedzącego na metalowym krześle.

- Dobry wieczór panu - przywitał się uprzejmie Jupiter.

Milioner zmierzył go ponurym spojrzeniem.

Detektyw i jego przyjaciele weszli po schodach na werandę.

- Proszę pana, mam pewną hipotezę dotyczącą dzisiejszych wydarzeń - zaczął ostrożnie Jupe.

- Młody człowieku, sądzę, że wyraźnie dałem ci do zrozumienia, co myślę o twoich hipotezach - odparł właściciel farmy.

Zerwał się i wszedł do domu.

Po chwili na werandzie pojawiła się pani Barron. Opadła na metalowe krzesło.

- Bądźcie dla niego wyrozumiali - powiedziała z westchnieniem. - Charles z trudem zmienia raz ustalone opinie. Nie lubi, gdy ktoś mówi mu prawdę w oczy. Zdecydował się opuścić Ziemię na pokładzie statku kosmitów. Żąda, abym mu towarzyszyła. - Pani Ernestyna popatrzyła z rozbawieniem na zielony kostium, który miała na sobie. - Oznajmił, że powinnam się przebrać w spodnie. Twierdzi, że spódnica to nie jest strój odpowiedni na taką podróż.

Jupe uśmiechnął się i usiadł na metalowym krześle.

- Wszystko już mają państwo przygotowane? Czy pan Barron zaczął pakować rzeczy, które chce ze sobą zabrać? Co zamierza ocalić z ogólnoswiatowej katastrofy?

- Powiedział, że spakuje się po zmierzchu - odparła pani Ernestyna.

- Rozumiem. - Jupiter siedział bokiem na krześle, z ręką na oparciu. Niespodziewanie wyczuł palcami sporą dziurę w metalowej powierzchni. Przypominała szczelinę. Dotknął jej i obejrzał, nie kryjąc ciekawości.

- Okropne, prawda? - rzuciła z irytacją pani Barron. - Podobno to nieuniknione. Tak powiedział Charles, gdy zamawiał meble.

- Chyba miał rację. - Jupe w zamyśleniu pokiwał głową. - Czy pani mąż zdaje sobie sprawę, że grozi mu poważne niebezpieczeństwo? Robi dokładnie to, czego życzą sobie oszuści. Przyjmuje za dobrą monetę wszystkie podsuwane przez nich informacje. Pozwala sobą manipulować.

- Jupe, czy jesteś przekonany, że to mistyfikacja? - zapytała pani Ernestyna.

- Najzupełniej - zapewnił chłopiec. - Chciałbym pani uświadomić, że jesteśmy tu więźniami. Nie możemy wyjechać, choćbyśmy tego chcieli.

Pete i Bob energicznie pokiwali głowami.

- Dlaczego? - wypytywała zdesperowana kobieta. - Czego ci oszuści od nas chcą? Kim są? Jaki mają cel?

- Całą tę intrygę uknuli faceci pilnujący drogi oraz ich wspólnicy - odparł Jupe. - Chcą zagarnąć należące do pani męża złoto.

Frontowe drzwi trzasnęły niespodziewanie. Na werandzie pojawił się Charles Barron. Jego żona aż podskoczyła na metalowym krześle. Właściciel farmy uśmiechnął się do niej i rzucił pojednawczym tonem:

- Ernestyno, kochanie moje, na pewno wiedziałaś, że będę podsłuchiwał.

Usiadł obok żony i powiedział do Jupitera:

- Wspomniałeś o złocie, chłopcze. Mów. Gotów jestem wysłuchać twoich argumentów.

- Tak jest - odparł uradowany Jupe. - Na pewno zdaje pan sobie sprawę, że pańska nieufność wobec instytucji finansowych tego kraju jest powszechnie znana. Rozmaici ludzie słyszeli, że zlikwidował pan niemal wszystkie konta bankowe, twierdząc przy tym, jakoby należało inwestować jedynie w ziemię i złoto. Domyśliłem się, że ulokował pan cały majątek w szlachetnym kruszcu, a skarb ukrył na terenie posiadłości. Wszystkie przesłanki jednoznacznie prowadziły do tego wniosku.

- Oszalałeś, Charles? - przerwała Ernestyna Barron. - Przechowujesz tu złoto? Dlaczego mi o tym nie wspomniałeś?

- Nie chciałem zaprzętać ci głowy tymi sprawami - odparł jej mąż.

- Oszuści doszli do tych samych wniosków co ja - ciągnął Jupiter. - Są przekonani, że trzyma pan złoto na farmie, ale nie wiedzą, gdzie pan je ukrył. Doskonale zainscenizowana iluminacja urwiska, start latającego spodka i komunikat przybyszów z innej planety miały stanowić zachętę do tego, by wydobył pan z kryjówki swój skarb, zabrał go na spotkanie z kosmitami i dobrowolnie oddał przestępcom dorobek całego życia. Dostaliby to, czego chcieli!

Charles Barron westchnął głęboko.

- Oczywiście - mruknął. - Tak właśnie zamierzałem postąpić. Śmiechu warte! Nie rozumiem, czemu byłem taki łatwowierny. Cóż, jedynie głupiec lub tchórz nie potrafi się przyznać do błędu, a ja nie jestem ani jednym, ani drugim.

Pan Barron rzucił młodemu detektywom wyzywające spojrzenie, jakby prowokował ich do sprzeciwu.

- Oczywiście - przytaknął skwapliwie Pete.

- Niech mnie diabli wezmą, jeśli pozwolę, by zgraja farbowanych żołnierzyków nadal mąciła mi w głowie! Ten szczeniak w wojskowym dżipie ma jeszcze mleko pod nosem. Łatwo damy sobie z nimi radę. Zbiorę paru krzepkich facetów. Broni i amunicji mamy tu pod dostatkiem. Jeśli będzie trzeba, użyjemy karabinów, żeby się stąd wyrwać.

- Pomysł nie jest zły, rzecz jasna pod warunkiem, że wszyscy pańscy ludzie są godni zaufania - odparł Jupe.

- O czym ty mówisz? - wypytywał milioner. - Masz jakieś wątpliwości?

- Oszuści zyskali informatora. Ktoś przekazuje wiadomości ludziom blokującym

drogę - wyjaśnił Jupe. - Bob opowie panu, co słyszał dziś po południu.

- Przelazłem przez płot, gdy nikt nie patrzył - Bob włączył się w rozmowę. - Podczołgałem się do obozowiska tych facetów i podsłuchałem, co mówią. Wiedzieli już, że jest pan skłonny uwierzyć w odwiedziny kosmitów. Ktoś zawiadomił porucznika przez telefon polowy, że wyjechał pan na objazd posiadłości.

- Co ty gadasz? Jaki telefon polowy? - obruszył się Barron. - Ci wojskowi mówili, że nie działa. Dlaczego nie wspomnieliście o tym wcześniej?

- Nie dał nam pan dojść do słowa - odparł z naciskiem Jupe. - Proszę pamiętać, że przestępcy nie wypuszczą pana ze swoich łap, jeśli nie dostaną tego, po co tu przybyli. Z pewnością chce pan postawić oszustów przed sądem, ale trudno ich będzie wpakować za kratki, jeśli nie zdobędziemy niepodważalnych dowodów przestępczej działalności. Trzeba pozwolić im na wykonanie kolejnego posunięcia. Wówczas informator sam się zdradzi. Wystarczy trochę cierpliwości, żeby ci łajdacy wpadli we własne sidła.

- Zapewne masz rację - przyznał Barron - lecz od tej chwili będę nosił przy sobie broń.

Poderwał się z krzesła i wszedł do domu. Po chwili wrócił na werandę ogromnie zdenerwowany.

- Ktoś włamał się do mojego arsenału - oznajmił przyciszonym głosem. - Kłódka nie jest uszkodzona, a więc złodziej dorobił klucz. Zniknęła cała amunicja. Okazali się sprytniejsi niż my. Jesteśmy w pułapce! Co gorsza, mamy tu zdrajcę! Ktoś z pracowników zawiódł moje zaufanie!

- Racja - przytaknął Jupe. - Problem w tym, że musimy się szybko dowiedzieć, kto to jest.

## ROZDZIAŁ 16

### Powrót kosmitów

Około dziewiątej wieczorem Pete i Konrad wymknęli się ukradkiem na drogę i ruszyli ku łąkom leżącym na północ od budynków farmy.

- Nic z tego nie rozumiem - marudził kierowca. - Skoro już wiadomo, że mamy do czynienia z oszustami, dlaczego pan Barron zamierza iść na to spotkanie? Jak może wejść na pokład latającego spodka, który nie istnieje?

- Do tej pory oszuści zwodzili naszego gospodarza, a teraz on im odpłaci pięknym za nadobne - tłumaczył Pete. - To pomysł Jupitera.

- Ten chłopak ma głowę na karku - stwierdził Konrad. - Dlaczego z nami nie poszedł?

- Będzie obserwował pracowników farmy - wyjaśnił młodociany detektyw. - Chce sprawdzić, jak się zachowają po rzekomym wyjeździe szefa.

- Mimo wszystko szkoda, że nie ma z nami Jupitera - powtórzył Konrad.

- Ja również tak sądzę - wyznał Pete. - Mniejsza z tym. Nasze zadanie jest proste. Musimy czekać w ukryciu, aż pan Barron wystrychnie na dudka tych oszustów. Panią Ernestynę i ciebie czeka następnie trudna wspinaczka po skalnym urwisku. Musicie jak najszybciej sprowadzić pomoc.

- Czy pani Barron da sobie radę? - zaniepokoił się Konrad.

- Zapewniła, że ma dość sił i umiejętności - odparł Pete. - Skoro tak powiedziała, wierzę jej na słowo.

Chłopiec podniósł rękę dając znak, że czas przerwać rozmowy. Byli na skraju łąki, niedaleko tamy. W świetle księżyca żdźbła trawy połyskiwały srebrzyście. Urwiste zbocze góry rzucało na pola i łąki głęboki cień. Pete i Konrad unikali miejsc oświetlonych księżycową poświatą. Okrążyli pola uprawne, przeszli po tamie między pastwiskami i skierowali się ku łące na drugim brzegu jeziora.

Od stromych skał aż po brzeg sztucznego zbiornika kłębiła się gęsta biała mgła. Pete szukał dobrej kryjówki. Wkrótce dostrzegł kępę rozłożystych krzaków. Chłopiec i kierowca znaleźli bezpieczne schronienie.

Wydawało im się, że minęły wieki, nim usłyszeli głosy dobiegające z oddali. Ujrzeni światło latarki i stukot kamieni na górskiej ścieżce. Pan Barron i jego żona nadchodzili z lewej strony, od tamy. Dróżka, którą wędrowali, biegła w odległości pół jarda od zarośli stanowiących kryjówkę Pete'a i Konrada. Chłopiec natychmiast zauważył spory pakunek



niesiony przez Barrona. Pani Ernestyna, idąca bez pośpiechu za mężem, dźwigała jeszcze większą torbę.

Milioner przystanął na środku pastwiska. Wybrańcy kosmitów czekali bez ruchu, spowici pasmami białej mgły.

- Może nie przylecą - odezwała się w końcu pani Ernestyna.

- Wkrótce tu będą - odparł jej mąż. - Przecież obiecali.

Nagle łąkę rozjaśniła błękitna aura. Barronowie patrzyli bez słowa na smugi oślepiającego blasku. Pani Ernestyna przytuliła się do męża.

Urwisko stanęło w błękitnym ogniu. Płomienie zdawały się pochłaniać gęstą mgłę, rozrywając na strzępy mlecze pasma, które wirowały jak miniaturowe galaktyki.

Pete usłyszał westchnienie Konrada. Wielki okrągły cień zawisł nad doliną, opuszczając się w dół cicho i bezszelestnie jak chmura. Po chwili zasłonił górujące nad łąką urwisko. Niebieskie płomienie rzuciły jasne refleksy na srebrzystą powierzchnię.

- Latający talerz! - szepnął Konrad.

- Cicho! - syknął Pete.

Ogromny statek kosmiczny opadł na łąkę. Błękitna światłość niespodziewanie osłabła i zgasła. Przez chwilę nic się nie działo. Potem z ciemności i mgły wyłoniły się dwie postaci w okrągłych hełmach i białych skafandrach z połyskliwej materii. Kosmici szli jeden za drugim. Pierwszy trzymał latarkę emanującą błękitne światło.

Pete wstrzymał oddech. Przybysze z kosmosu podeszli do pary czekającej na środku łąki.

- Charles Barron? - rozległ się niski głos. - Ernestyna Barron?

- Tak - odparł milioner. - To moja żona.

- Czy jesteście gotowi do podróży? - zapytał kosmita trzymający latarkę. - Zabraliście ze sobą najcenniejsze rzeczy?

- Wziąłem to, co jest mi najdroższe - odparł Charles Barron, wręczając paczkę astronauty. - Oto "Kłęska".

- Co? - rzucił kosmita.

- "Kłęska" - powtórzył Barron. - Tak zatytułowałem swoją książkę. Dotyczy słabych punktów amerykańskiego systemu ekonomicznego. Mam nadzieję, że na planecie Omega znajdę czas, by ją skończyć.

- To wszystko, co ma pan ze sobą? - wypytywał kosmita. Pete zatkał sobie usta, by nie parsknąć śmiechem. Głos rzekomego astronauty wyraźnie drżał.

- Nie zabrałem innego bagażu - odparł milioner. - Żona przyniosła własne skarby.

- Zabrałam najładniejsze rysunki moich synów - oznajmiła pani Barron, wysuwając się zza pleców męża. - Wzięłam też suknię ślubną. Nie mogłam jej tu zostawić na pastwę losu.

- Rozumiem - burknął kosmita. - Bardzo dobrze. Chodźcie z nami.

Przybysze z kosmosu zawrócili. Barronowie podreptali za nimi. Pete wstał, ogarnięty nagłym przerażeniem. Sylwetki właścicieli farmy majaczyły niewyraźnie w gęstej mgle. Za chwilę miały zniknąć w ciemnościach.

Kosmici niespodziewanie przystanęli. Osobnik trzymający latarkę uskoczył na bok. Drugi z wysłanników odwrócił się, stając twarzą w twarz z Barronami, i podniósł rękę. Pete przypomniał sobie niezliczone sceny z filmów oglądanych w kinie i w telewizji. Kosmita trzymał w ręku broń!

- Dobra, stary! - rzucił szorstko. - Ani kroku dalej!

Jego wspólnik ruszył w gęstej mgle ku tajemniczemu owalnemu pojazdowi, który spoczywał na łące. Mężczyzna pochylił się, jakby czegoś szukał w wysokiej trawie. Po chwili zrobił kilka kroków i przykucnął. Niespodziewanie urwisko rozjarzyło się ponownie błękitnym światłem, a latający spodek wzleciał ku niebu. Początkowo wznosił się powoli, by po chwili nabrać szybkości i zniknąć w ciemnościach ponad urwistym zboczem.

Błękitne płomienie zgasły. Światło księżycy znowu posrebrzyło łąkę.

- Sądzę, że wiem, po co urządziliście ten dziwaczny spektakl. Niebieska poświata i startujący pojazd były widoczne z farmy i drogi. Moi ludzie będą przekonani, że odleciałem z kosmitami, a wasi pożałowania godni wspólnicy bez obaw wkroczą na teren posiadłości.

Mężczyzna trzymający pistolet zdjął hełm swobodną ręką. Był to młody długowłosy brunet o pospolitych rysach twarzy.

- Pożałujesz, durniu, że nie przyniosłeś ze sobą kosztowności - burknął. - Spokojna głowa. I tak dostaniemy w końcu twoje złoto.

Podszedł do milionera i przyłożył lufę pistoletu do jego głowy.

- Gadaj! Nie zamierzamy tracić czasu! - krzyknął. - i tak za dużo go zmarnowaliśmy. Nie próbuj się stawiać, człowieku. Jeśli będzie trzeba, przewrócimy całą farmę do góry nogami, ale po co robić tyle zamieszania? Właścicielowi mogłoby się przytrafić coś złego. Nie sądę, by uszedł z życiem!

Pani Barron krzyknęła ze strachu.

- Nie narażaj się bez potrzeby, człowieku - radził mężczyzna. - Pomyśl o żonie. Jej także grozi poważne niebezpieczeństwo. Powiedz nam szybko, gdzie schowałeś złoto.

- Chyba połowa ludności tego stanu wie, jak ulokowałem swoje pieniądze - westchnął

z irytacją Barron. - Trudno. Nie ma sensu ginąć dla forsy. Złoto jest ukryte w piwnicy naszej rezydencji, pod cementową podłogą.

Uzbrojony mężczyzna odsunął się nieco. Jego wspólnik zniknął we mgle. Po chwili rozległ się terkot przypominający brzęczenie dzwonka.

- Aha! - wykrzyknął Barron. - Telefon polowy!

Facet z pistoletem milczał. Nie spuszczał z oka milionera i jego żony. W ciemności dał się słyszeć głos drugiego oszusta.

- Nie przynieśli - oznajmił. - Jest schowane w piwnicy pod cementową podłogą. - Mężczyzna zamilkł na chwilę, a potem rzucił krótko:

- Jasne.

Gdy przestępca powrócił do wspólnika, Pete zorientował się, że polowy telefon został ukryty wśród skał u podnóża urwiska.

- Będzie lepiej dla ciebie, jeśli znajdziemy złoto w piwnicy - rzucił oszust, spoglądając groźnie na Barrona. - Gdyby chłopcy się rozczarowali, prawdopodobnie wpadną na pomysł, żeby ciebie tam zamurować!

- Zobaczymy - mruknął Barron. Odwrócił się nagle i popchnął lekko panią Ernestynę, która upadła na trawę.

Na mgnienie oka mężczyzna z pistoletem w dłoni pochylił się w stronę leżącej kobiety. W tej samej chwili huknął strzał. Uzbrojony przestępca wrzasnął przeraźliwie. Broń wypadła mu z ręki.

- Ani kroku! - krzyknął pan Barron. W wyciągniętej ręce trzymał pistolet. - Ernestyno, bądź tak dobra i weź rewolwer tego łajdaka.

Pani Barron chwyciła broń. Podała ją mężowi i podniosła się z ziemi. Mężczyzna, który do niedawna trzymał na muszce milionera i jego żonę, osunął się na kolana i przytulił do piersi zranioną dłoń, łkając jak małe dziecko.

- Skąd pan wziął pistolet? - zapytał jego osłupiały ze zdziwienia kolega, gdy Barron sprawdzał, czy nie ma broni.

- Rodzinna pamiątka. Należał do mego ojca - wyjaśnił spokojnie milioner. - Trzymam go zawsze pod poduszką. Wasi wspólnicy przeoczyli ten drobiazg, gdy kradli amunicję z arsenału.

Barron, nie odwracając się, zawołał:

- Pete! Konrad!

- Tu jesteśmy, proszę pana - odkrzyknął chłopiec. Młodociany detektyw i kierowca przebiegli łąkę.

- Sądę, że poza tymi dwoma nikogo tu nie ma. Pewnie by się pokazali do tej pory - stwierdził Charles Barron. Następnie powiedział do żony: - Ernestyno, jesteś pewna, że wspinaczka po urwisku nie będzie dla ciebie zbyt trudna?

- Skądże! Wyruszam za chwilę - oznajmiła stanowczo kobieta. - Muszę tylko opatrzyć rękę temu nieszczęśnikowi. Charles, czy zechcesz mi dać swoją chusteczkę?

Barron westchnął z irytacją, ale spełnił prośbę żony. Pani Ernestyna uklękła na trawie i opatrzyła dłoń rannego przestępcy. Gdy skończyła, Peter z latarką poszedł szukać telefonu polowego. Znalazłszy go, powyrywał wtyczki. Odciętymi przewodami związał obu mężczyzn.

Pani Barron wzięła od męża latarkę i zatknęła ją za pasek od spodni, a potem wyciągnęła rękę do Konrada.

- Musimy wspiąć się na górę i zejść do autostrady - oznajmiła. - Mam nadzieję, że włożył pan wygodne buty. Będziemy maszerować około dwóch godzin. Idziemy?

Konrad w milczeniu skinął głową. Pani Barron ruszyła w stronę urwiska i zaczęła się wspinać. Konrad szedł za nią, powoli stawiając stopy tam, gdzie jego przewodniczka. Pan Barron i Pete obserwowali wędrowców, aż dzielna para znalazła się na szczycie wzgórza i zniknęła im z oczu wśród dzikich zarośli górujących nad farmą.

- Udało się! - zawołał radośnie Barron. - Moja żona to wspaniała kobieta.

Milioner pozostawił związanych "kosmitów" na łące i ruszył ku położonym w dole polom uprawnym.

- Idziemy, chłopcze - zawołał niecierpliwie do Pete'a. - Nie będziemy tu siedzieć całą noc. Na farmie czeka nas sporo atrakcji!

## ROZDZIAŁ 17

### Szukanie skarbu

Mężczyzna podający się za porucznika Ferrante'a stał na zwirowej drodze przed wiejskim domem. Wojskowy podniósł karabin i wystrzelił kilka razy w powietrze.

- Wracajcie do chat! - krzyknął. - Wynoście się! Kto tu zostanie, sam sobie będzie winien. Będę strzelać!

Pracownicy rancza, którzy wylegli na drogę, by popatrzeć na skały rozjarzone błękitnym ogniem, uciekli do swoich domów. Rozległ się trzask zamykanych drzwi i chrobot zamków.

Ferrante wbiegł po schodach wiejskiego domu. Personel kierujący farmą zebrał się w obszernej kuchni. Był również Jupiter, Bob oraz mężczyzna, którego drugi z chłopców widział przed namiotem. Przestępca nazywał się Bones. Trzymał w rękach karabin. Siedział na krześle z bronią na kolanach i czujnym spojrzeniem wodził po twarzach spędzonych do kuchni zakładników.

Ferrante zerknął na Elsie i Mary, które siedziały przy stole, mocno zaciskając dłonie. Hank Detweiler stał za krzesłem Elsie; Banales oraz Aleman siedzieli naprzeciwko kobiet. Byli wściekli i zdenerwowani. Jupe i Bob zajęli miejsca u szczytu długiego stołu.

- Gdzie jest trzeci chłopak? - wypytywał Ferrante, patrząc spode łba na Jupitera. - Co z twoim kolegą?

- Skąd mam wiedzieć? - rzucił obojętnie Jupe. - Wyszedł jakiś czas temu i jeszcze nie wrócił.

Ferrante wydawał się zakłopotany. Nie wiedział, co o tym myśleć.

- Nie ma tu szczeniaka - oznajmił Bones. - Al przeszukał sypialnie na górze. Mam sprawdzić w innych budynkach?

- Nie - odparł ze złością rzekomy porucznik. - To mało ważne. Choćby zwał, daleko nie zajdzie. Trzymaj ich na muszce. - Ruchem głowy wskazał zgromadzonych wokół stołu pracowników farmy. - Gdyby ten gówniarz się pojawił, niech siedzi tu z nimi.

Ferrante wyszedł z kuchni. Przystanął na drodze, by zamienić kilka słów z drugim wartownikiem, a potem zszedł do piwnicy Barronów wejściem od podwórka.

Jupiter Jones zerknął ukradkiem na zegarek. Było wpół do jedenastej. Niebieskie płomienie rozjaśniły urwisko przed dwudziestoma minutami. Jupe zdawał sobie sprawę, że dopiero około północy można spodziewać się policji. Miał w perspektywie długie i

denerwujące oczekiwanie.

Detektyw usiadł wygodnie na krześle i łowił uchem odgłosy dobiegające z piwnicy sąsiedniego domu. Ferrante przybył na farmę z piątką współników. Bones i mężczyzna stojący na drodze pełnili straż, a pozostała czwórka pracownicy ryła w podziemiach rezydencji Barronów. Jupe wiedział, co ich czeka: kruszenie betonu i wypruwanie z cementowej podłogi stalowych elementów uzbrojenia. Zasłonił ręką usta, by nikt nie spostrzegł złośliwego uśmiechu. Szukanie skarbu zajmie tym łobuzom sporo czasu. Jeśli zechcą przeszukać każdy kąt piwnicy, będą musieli przerzucić stos drewna oraz górę węgla, a także rozbić grubą warstwę cementu.

Ustało szuranie i odgłosy pojedynczych uderzeń. Z piwnicy dobiegł nagle donośny warkot młota pneumatycznego kruszącego beton. Pięć minut... potem jeszcze dziesięć minut... Czterej poszukiwacze ochoczo chwycili łopaty. Słychać było rytmiczne uderzenia i szum odrzucanej ziemi.

Minęła godzina od chwili, gdy zgasy błękitne ognie rozświetlające urwisko.

Uzbrojony wartownik poprawił się na krześle i popatrzył na kuchenny zegar.

Mężczyźni pracujący w piwnicy przestali kopać i zabrali się do przenoszenia drewnianych polan. Rzucali je z łoskotem na betonowe rumowisko. Po raz drugi rozległ się warkot młota pneumatycznego, a następnie odgłos łopat wbijanych w ubitą ziemię.

Jupe policzył szybko, że błękitna światłość nad łąką od półtorej godziny była jedynie intrygującym wspomnieniem.

Poszukiwacze skarbów musieli się teraz uporać z górą węgla. Przerzucili go na zryty piach, skruszyli beton i przekopali ziemię.

Od prawie dwóch godzin nad urwiskiem świecił tylko księżyc.

Porucznik Ferrante wyszedł z piwnicy. Jego koszula była mokra od potu, a na odsłoniętych ramionach widać było ciemne smugi brudu. Zlepione włosy opadały mu na czoło. Dłonią ukrytą w rękawiczce dotknął kabury pistoletu. Przeskakując po kilka stopni, wbiegł po schodach wiodących do wiejskiego domu.

- Oszukali nas - wysapał zwracając się do Bonesa. – Nie znaleźliśmy złota w piwnicy. Nigdy go tam nie było. Idę na łąkę. Zmuszę Barrona, żeby wyśpiewał, gdzie trzyma skarb.

- Pan zawsze nosi rękawiczki, poruczniku? - zapytał niewinnie Jupe. W jego oczach migotały złośliwe iskierki. Ferrante był wyraźnie zaniepokojony dociekliwością chłopca.

- To musi być okropnie niewygodne - rzucił współczująco detektyw Jones - ale ma pan ważne powody, by się tak umartwiać, zgadłem, co?

Ferrante zrobił krok w stronę drzwi, ale Jupe perorował dalej. Porucznik

znieruchomiał.

- Jest pan genialnym przestępcą - rzucił z uznaniem chłopiec. - Przygotowanie takiego scenariusza wymaga nie lada wyobraźni. Z drugiej strony jednak rzeczywistość podsunęła panu niezły materiał. Usłyszał pan o kobiecie przekonanej, że na Ziemię przybywają kosmici przyjaźnie usposobieni do ludzi. Ktoś wspomniał o milionerze oczekującym rychłego załamania systemów ekonomicznych i wszechświatowej katastrofy gospodarczej. Nic prostszego jak spreparować dla łatwowiernych głupców historyjkę o grożącej światu zagładzie. Udało się zagłuszyć wszystkie programy radiowe. Sądzę, że w tym celu umieścił pan na okolicznych wzgórzach niewielkie nadajniki.

Po unieszkodliwieniu radiodbiorników zniszczył pan kable telefoniczne oraz telewizyjne - ciągnął Jupe. - Przerwanie dopływu prądu było dziecinną igraszką. Ranczo zostało odcięte od świata. Scena była przygotowana. Wtedy pojawili się aktorzy.

- Stary, tracimy czas! - syknął uzbrojony wartownik, kręcąc się nerwowo na krześle.

Ferrante pospieszył ku drzwiom.

- Jak to, poruczniku? Nie zdejmie pan rękawiczek? - dobiegł go natarczywy głos Jupe'a.

Ferrante przystanął i obrzucił chłopca badawczym spojrzeniem.

- Wspaniale zagrana rola, poruczniku - oznajmił młody detektyw. - Wyglądał pan na faceta, który okropnie się boi i nie ma pojęcia, co naprawdę zaszło. Udawał pan nieśmiałego oficerka przerażonego stanowczą postawą Charlesa Barrona, lecz zdecydowanego wypełnić otrzymany rozkaz i dopilnować, by nikt nie wymknął się z farmy.

Jej właściciel ułatwił panu zadanie, prawda? Rozmieścił strażników na granicach swoich włości i w ten sposób odwalił za pana kawał roboty. Omal nie doszło do wybuchu paniki. Wszyscy byli zastraszeni.

Wielkie wrażenie zrobił na obserwatorach start rzekomego statku kosmicznego, iluminacja urwiska i znalezienie nieprzytomnego pasterza ze spalonymi włosami. Nie wątpię, że przygotowanie tego spektaklu kosztowało was mnóstwo wysiłku. Latający spodek to zapewne rozpięty na specjalnym stelażu balon wypełniony helem. De Luca zaskoczył na łące pańskich ludzi, którzy doszli do wniosku, że można się nim posłużyć, by przedstawienie było jeszcze bardziej wiarygodne. Ogłuszyli pasterza i przypalili mu włosy płomieniem zapalniczki lub zapałki. Biedak chcąc nie chcąc wystąpił w roli przypadkowej ofiary startującego kosmolotu. Dla wzmocnienia efektu kosmici pojawili się na łące po raz wtóry tamtej nocy, gdy siłą powstrzymali mnie i moich przyjaciół od wyprawy do najbliższego miasta.

Miał pan nadzieję, że Barron uwierzy, jakoby kosmici przybyli specjalnie po to, by go ocalić. W końcu dał się przekonać. Oczekiwaliście, że weźmie ze sobą ukochane złoto, ale stało się inaczej. To musiało być dla pana wielkie rozczarowanie!

Porucznik stał nieruchomo jak posąg. Zaciśnął wargi i spoglądał na Jupitera przenikliwym wzrokiem.

- Złoto? - rzucił z nadzieją. - Wiesz coś na ten temat?

- Nie więcej od pana - odparł chłopiec. - Barron nie ufa rządowi ani instytucjom finansowym. Inwestuje w złoto, a swój skarb ukrył na terenie posiadłości, którą zamienił w niedostępną twierdzę. Przesłanki są tak oczywiste, że każdy domyśli się prawdy. I tu dochodzimy do sedna sprawy. Nie mógłby pan zebrać danych na temat Barrona i skonstruować precyzyjnego scenariusza bez informatora obserwującego codzienne życie na farmie. Podjęła się tego zadania osoba bardzo panu bliska, zgadłem, poruczniku? Używa podobnych wyrażen co pan, na przykład chętnie porównuje swego szefa do grzechotnika w czasie burzy. Ma lekko zdeformowaną rękę... tak samo jak pan. Żeby to ukryć, musi pan stale nosić rękawiczki. Informatorką jest pańska siostra Elsie.

Napięcie rosło. W kuchni panowała martwa cisza. Elsie Spratt pochyliła się do przodu i zmierzyła Jupitera nienawistnym spojrzeniem.

- Pożałujesz tych słów, szczeniaku! - oznajmiła.

- Niech sobie pani daruje te groźby - odparł spokojnie Jupe. - Nikomu już nie zaszkodzą. Czas żałować swoich postępów. Nie działała pani, rzecz jasna, w pojedynkę. Weźmy na przykład sprawę polowego telefonu zmontowanego na farmie. Musiał być dobrze ukryty. Może znajdował się w boksie ogiera, który toleruje jedynie Mary Sedlack?

Jupe uśmiechnął się do osłupiałej dziewczyny.

- Na pewno z czasem wyjdzie na jaw, że to pani namówiła szefa do prowadzenia nasłuchu radiowego - oznajmił detektyw. - To był pani odbiornik, prawda? W środku ukryto niewielki magnetofon. Taśma z komunikatem przybyszów z kosmosu została nagrana wcześniej, podobnie jak orędzie prezydenta.

Mary niespodziewanie straciła pewność siebie. Miała łzy w oczach.

- Nie wiem, o czym mówisz - wyjąkała.

- Nieprawda - odparł zdecydowanie Jupe. - Porucznik jest pani... bardzo bliski. W pokoju Elsie znalazłem ciekawą fotografię. Zrobiono ją podczas sylwestrowego balu. W tle widać młodą blondynkę o długich włosach, tańczącą ze szczupłym brodaczem. Przed przyjazdem na rancho ścięła pani włosy. Dlatego nie mogłem skojarzyć, kim jest dziewczyna ze zdjęcia. Porucznik Ferrante, czyli pan Spratt, z kolei zgolił brodę.



- Mam zastrzelić tego gówniarza? - zapytał Bones.

- Będziecie musieli zastrzelić wszystkich, którzy są w tym pokoju - rzucił ponuro Hank Detweiler i obojętnie machnął ręką. - Skoro chcecie stanąć przed sądem za wielokrotne morderstwo z premedytacją....

Po chwili milczenia zwrócił się do Elsie:

- Niezły z ciebie numer. Powinienem być się dobrze zastanowić, nim cię zatrudniłem.

- A czego się spodziewałaś? - krzyknęła piskliwie kucharka. - Że będę całować Barrona i ciebie po rękach, do końca życia pokornie stać przy kuchni, szorować gary i nosić świniom resztki posiłków? Miałam patrzeć, jak Jack starzeje się w nędznym sklepiku, ciułając grosz do grosza? Zaslugujemy na lepsze życie!

- Teraz otwiera się przed tobą wspaniała perspektywa! - ryknął wyprowadzony z równowagi Detweiler. - Wygodna cela w więzieniu dla kobiet.

- Zamknij gębę! - krzyknęła Elsie. Zerwała się z krzesła i z niepokojem powiedziała do porucznika: - Wynośmy się stąd, Jack. Nie mamy chwili do stracenia. Trzeba...

Przerwała. Z oddali dobiegł warkot silnika.

- Ktoś przyjechał! - rzucił Bones.

Jupe zerknął przez okno ponad jego ramieniem. W mroku majaczyła niewyraźna sylwetka chłopca, który wybiegł z kępy zarośli, ruszył w stronę rezydencji i zatrzasnął drzwi do piwnicy. Czekał na Charlesa Barrona, który wyłonił się zza rogu swego domu. Milioner stanął przed samotnym wartownikiem.

- Opór jest daremny - ostrzegł. - Moja żona będzie tu wkrótce z policją.

W tej samej chwili dwa radiowozy zatrzymały się z piskiem opon przed rezydencją. Pani Barron wyskoczyła na drogę z toczącego się jeszcze samochodu.

- Ernestyno, bądź ostrożna! - zawołał Charles Barron. - Takie wybryki mogą się zakończyć tragicznie!

- Masz rację, kochanie - odparła kobieta, podbiegając do męża. Uzbrojony strażnik błyskawicznie ocenił sytuację. Rzucił karabin na ziemię i podniósł ręce do góry.

Drzwi prowadzące do piwnicy otworzyły się z trzaskiem. Stanęła w nich trójka kompanów Ferrante'a, którzy osłupieli na widok policyjnych samochodów. Wysypała się z nich gromada uzbrojonych mężczyzn w mundurach.

- Ci panowie bardzo się zmęczyli podczas zrywania betonowej podłogi - rzucił drwiąco Barron. - Na łące znajdziecie jeszcze dwóch. Są związani. W kuchni jest kolejna grupa. Mój gość Jupiter Jones dotrzymuje im towarzystwa. Nie sądzę, żeby stawiali opór. Jupiter na pewno ich przekonał, że to bezcelowe.

Barron zachichotał i dodał:

- Myślę, że świat nieprędko zejdzie na psy, skoro mamy tak utalentowaną młodzież.

## ROZDZIAŁ 18

### Pan Alfred Hitchcock pyta o szczegóły

Minęło dziesięć dni od powrotu trójki detektywów do Rocky Beach. Było pogodne popołudnie. Chłopcy wsiedli na rowery i ruszyli szosą biegnącą obok plaż Malibu. Potem skręcili w boczną drogę pełną wybojów, która prowadziła do Cyprysowgo Kanionu.

W głębi wąwozu mieszkał zaprzyjaźniony z nimi znakomity reżyser i pisarz Alfred Hitchcock.

Pan Hitchcock kupił ostatnio mocno zniszczony budynek, w którym mieściła się dawniej restauracja "U Charlie'ego". Bez pośpiechu zmieniał teraz knajpę w elegancką rezydencję. Gdy chłopcy wjechali na parking znajdujący się przy budynku, ich znajomy stał przed domem z laską w ręku i nie kryjąc zadowolenia, obserwował elektryka stojącego na szczycie drabiny.

- Cześć, chłopcy - powitał młodych przyjaciół i ruchem głowy wskazał elektryka. - Cóż to za radość patrzeć na ludzi, którzy dla nas pracują.

- Zdejmie pan neon? - zapytał Bob.

- Nie - odparł stanowczo pan Hitchcock. - Zamierzam go naprawić. Postanowiłem włączać neon, ilekroć zaproszę znajomych na kolację. Łatwiej im będzie trafić do mego domu.

Bob sprawiał wrażenie zdziwionego osobliwym pomysłem. Reżyser wybuchnął śmiechem.

- Zdaję sobie sprawę, że to dość dziwaczna ozdoba domu, ale wyobraźcie sobie, że błądzicie po ciemku w nieznaną okolicę i nagle widzicie taką iluminację! Każdy trafi bez trudu. Bardzo proszę, wejdźcie do środka. Gdy zadzwoniliście dziś rano, powiedziałem Donowi, że się was spodziewam. Od tamtej chwili szura garnkami w kuchni. Nie mam pojęcia, co przygotował, ale radzę wam zatkać nosy. Zapach jest okropny.

Chłopcy weszli za gospodarzem na zniszczoną drewnianą werandę. Gdy znaleźli się w holu, poczuli mocny zapach domowych wypieków. Po chwili byli już w obszernym salonie, dawniej głównej sali restauracji. Podłogę ułożono tu z prostych desek; przez okna sięgające do sufitu widać było drzewa oraz fale oceanu. Pokój był niemal całkowicie ogołcony z mebli. W głębi znajdował się wielki kominek, a przed nim niski stół ze szklanym blatem i kilka ogrodowych krzeseł. Wzdłuż przeciwległej ściany ciągnęły się półki na książki, przed nimi stało ogromne biurko, a obok stolik z maszyną do pisania. Po podłodze walały się

niezliczone kartki papieru. Jeden arkusz tkwił w maszynie.

- Praca nad książką nie idzie mi tu najlepiej - oznajmił pan Hitchcock, wskazując biurko ruchem głowy. - Z trudem napisałem jedną stronę. Pod byle pretekstem uciekam z gabinetu, włóczę się po całej posiadłości i planuję zmiany oraz ulepszenia. Na przykład marzy mi się taras.

- Gdzie pan znajdzie na niego miejsce? - zapytał Pete, rozglądając się wokół.

- Za tymi wielkimi oknami - oznajmił gospodarz. - Nie rozumiem, dlaczego właściciele restauracji w ogóle o tym nie pomyśleli. Zamiast okien wstawię rozsuwane drzwi ze szkła, a potem zniweluję i utwardzę teren wzdłuż budynku. W ciepłe wieczory będę zasiadał na tarasie ze szklanką orzeźwiającego napoju. Nie tracę nadziei, że Don nauczy się przygotowywać smaczne przekąski.

Pan Hitchcock przerwał i zawołał na cały głos:

- Don, chłopcy już przyjechali!

Do salonu wbiegł natychmiast uśmiechnięty mężczyzna o azjatyckich rysach twarzy. Niósł wielką tacę. Był to Hoang Van Don, wietnamski uchodźca, który zajmował się domem pana Hitchcocka. Bardzo podobał mu się amerykański styl życia; przyswajał go sobie z nieukrywaniem zapalem. Wiele trudu i starań włożył w przygotowanie poczęstunku dla Trzech Detektywów. Taca pełna była rozmaitych przekąsek.

- Smakołyki dla przyjaciół - oznajmił z dumą, stawiając tacę na szklanym blacie stolika. - Placek z owocami, czekoladowe ciasteczka polewane karmelem, lody bakaliowe i napój imbirowy domowej roboty.

- Niesamowite! - zawołał pan Hitchcock. - Przeszedłeś samego siebie!

Don uśmiechnął się od ucha do ucha i z głębokim ukłonem opuścił salon. Gospodarz i jego goście usiedli przy stole.

- Próbuję namówić Dona, by zapisał się do klubu mieszkańców Malibu - oznajmił pan Hitchcock. - W każdy trzeci wtorek miesiąca osoby mieszkające od dawna w okolicy zapraszają na kolację nowo przybyłych, którzy pragną zaznajomić się z bliższymi i dalszymi sąsiadami. Mam nadzieję, że ten zwariowany Wietnamczyk da się przekonać do tego pomysłu. Jeśli nadal będzie układał menu na podstawie telewizyjnych reklam artykułów żywnościowych, obawiam się o mój system trawienny. Don powinien zobaczyć, co jedzą rodowici Amerykanie. Przekona się wówczas, że ulubionymi smakołykami mieszkańców tego kraju nie są wcale wysokokaloryczne słodczyce ani gotowe dania zamrożone na kość i owinięte w plastikową folię.

Jupiter zachichotał i zabrał się do pałaszowania ciasteczek. Uznał je za całkiem

smaczne. Reżyser przyjrzał się z uwagą krępej sylwetce Pierwszego Detektywa i doszedł do wniosku, że genialny chłopak nie jest zbyt wybredny.

- Chyba już czas, żebyście mi opowiedzieli o waszych najnowszych przygodach - stwierdził. - Podczas rozmowy telefonicznej wspomnieliście o próbie zagarnięcia majątku znanego milionera. Na pewno rozwiązaliście kolejną zagadkę kryminalną.

Bob skinął głową, przechylił się przez stół i wręczył panu Hitchcockowi dużą brązową kopertę.

- Oto sprawozdanie - rzekł chłopiec. - Sądziliśmy, że zechce się pan zapoznać z naszą relacją dotyczącą wydarzeń, które miały miejsce na ranchu Valverde.

- Rancho Valverde? Naprawdę tam byliście? To niesamowite! Doniesienia prasowe wydawały mi się fragmentaryczne i niezbyt jasne. Bardzo jestem ciekaw tej relacji.

Pan Hitchcock otworzył kopertę i zaczął czytać sprawozdanie, w którym Bob opisał, jak Trzej Detektywi wyjaśnili tajemnicę płonącego błękitnym ogniem urwiska. Lektura całkiem go pochłonęła. Gdy przeczytał ostatnią stronę, włożył sprawozdanie do koperty, usiadł wygodniej na krześle i powiedział:

- Ledwie mogłem się połapać w tych wszystkich zawiłościach. Z pewnością istniał prostszy sposób zagarnięcia skarbu Barrona!

- Przestępcy nie mogli chyba wybrać trudniejszej drogi - rzucił z przekąsem Jupiter. - Problem w tym, że Jack Spratt i jego wspólnicy to początkujący aktorzy, którym niezbyt się poszczęściło. Nie umieli oprzeć się pokusie zorganizowania wielkiego spektaklu.

- Tak właśnie sobie pomyślałem - odparł pan Hitchcock. - Potwierdzają się moje obserwacje z Hollywoodu. Są aktorzy, dla których każdy pretekst jest dobry, by popisać się umiejętnością kreowania postaci.

- Samo życie podsunęło im doskonały materiał na scenariusz - podkreślił Jupe. - Charles Barron znany był z tego, że nie ufa instytucjom finansowym. Wiadomo również, że pani Ernestyna wierzy w bliskie spotkania trzeciego stopnia z przyjaznymi ludziami kosmitami. Być może Spratt i jego wspólnicy znali historię słuchowiska "Wojna światów" w reżyserii Orsona Wellesa. To mogło być dla nich źródłem inspiracji. Odegrali dramat o nadchodzącym końcu świata. Z pewnością nieźle się bawili, paradując w żołnierskich mundurach.

- Kostiumy wzięli z pewnego magazynu. Każdy może je wypożyczyć za niewielką opłatą - wyjaśnił Pete. - Telefony pochodziły z demobilu. Jack Spratt i jego kompani nabyli je od wojska, natomiast dzipa ukradli żołnierzom.

- Nie udało nam się wyjaśnić pochodzenia latającego talerza - wtrącił Bob. -

Przypuszczamy, że sami go zbudowali. Tamtej nocy, kiedy mieli spotkać się z Barronami, zwolnili cumy i pozwolili, by uniósł się w powietrze. Do tej pory brak doniesień o lądowaniu w okolicy tajemniczego obiektu. Prawdopodobnie spreparowali również metalową przekładnię znaną na łące. Poprosiliśmy kilku specjalistów, by rzucili okiem na ten przedmiot. Żaden fachowiec nie potrafił go zidentyfikować. Być może to jakaś zabawka albo mała rzeźba wykonana z unikalnego stopu. Pan Barron używa teraz owego trofeum jako przycisku do papierów. Wielu rzeczy musieliśmy się domyślić, ponieważ złodzieje nabrali wody w usta. Ledwie zjawiała się policja, zaczęli jeden przez drugiego domagać się adwokatów.

- To zrozumiałe - mruknął pan Hitchcock, patrząc na trzymane w rękę sprawozdanie. - Wiele jeszcze pozostaje do wyjaśnienia. Zastanawiam się nad jedną sprawą. Powodzenie całego przedsięwzięcia zależało w dużym stopniu od tego, czy uda się odciąć ranczo od świata. Jak przestępcy zdołali wyłączyć z ruchu szosę biegnącą przez dolinę?

- To proste! - odparł Pete. - Po obu stronach ustawili bariery z napisem "Droga czasowo zamknięta z powodu naprawy". Niewiele aut tamtędy przejeżdża, więc zgodnie z ich założeniem pies z kulawą nogą nie zainteresował się tą sprawą.

- Wkalkulowali to ryzyko w swoje przedsięwzięcie - stwierdził reżyser, kiwając głową. - Interesuje mnie również, kto was ogłuszył na łące, kiedy próbowaliście wymknąć się z farmy. Czy osoba, która śmierdziała stajnią, to rzeczywiście Mary Sedlack?

- Tak nam się wydaje - odparł Jupe. - Przypuszczamy, że Mary widziała, jak wychodzimy z domu. Prawdopodobnie zadzwoniła do współników pilnujących drogi. Miała przecież telefon polowy ukryty w końskim boksie. Spratt zaalarmował swoich ludzi czuwających u stóp urwiska. Czekali spokojnie, aż się zjawimy. Mary zapewne nas śledziła, by mieć pewność, że nie umkniemy. To ona przyłożyła Bobowi, a dwójka jej kompanów rozprawiła się z nami. Po powrocie na ranczo wzięła prysznic jak każdego ranka. Gdy przywieziono nas do wiejskiego domu, nie poczułem od niej zapachu koni. Chyba nie zdawała sobie sprawy, że czuć ją było stajnią. Tyle czasu spędza wśród zwierząt, że przestała zwracać na to uwagę.

- Racja. Miłośnicy koni przejmują zapach swoich ulubieńców - odparł z uśmiechem pan Hitchcock. - Wracając do polowego telefonu, znaleźliście aparat w stajni, prawda?

- Owszem - przytaknął Jupiter. - Mechanizm został tak ustawiony, że Mary i Elsie mogły dzwonić do współników obozujących przy drodze, lecz oni nie byli w stanie telefonować na farmę. Spratt obawiał się, że ktoś usłyszy brzęczenie dzwonka lub podsłucha rozmowę i sekret wyjdzie na jaw.

- Jack Spratt musiał się zwijać jak w ukropie, by wszystkiego dopilnować - wtrącił Pete. - Przystroił telefony polowe, zamontował magnetofony w radioodbiornikach należących do Elsie i Mary, co umożliwiło nadanie w odpowiedniej chwili rzekomego orędzia z Białego Domu, a potem komunikatu ze statku kosmitów. Kiedy udało się Mary przekonać Barrona do prowadzenia nasłuchu radiowego, czekała spokojnie przy aparacie na odpowiedni moment i audytorium. My okazaliśmy się pierwszymi słuchaczami komunikatu z planety Omega.

- Radioodbiorniki i taśmy będą stanowiły trudny do zakwestionowania materiał dowodowy - dodał Jupe. - Prokurator zarekwirował też polowe telefony i maszynę do robienia mgły.

- Proszę? - zaciekawiał się pan Hitchcock.

- Tak - rzekł Jupe, energicznie kiwając głową. - Umieścili na łące maszynę, która przez kilka dni spowijała okolicę kłębią gęstą mgłą. Dzięki temu łatwiej im było ukryć aparaturę zamontowaną u stóp urwiska. Zbiorniki z gazem i wmontowane w nie zapalniki pozwalały w jednej chwili zamienić strome skały w ścianę ognia. Pojemniki wędrowały w górę i w dół na sznurach. Łatwo je było ukryć przed ciekawym wzrokiem ludzi przebywających na farmie. Latający spodek też unosił się na długich linach. Mogli go ściągnąć na ziemię i zacumować na łące.

- Ci łajdacy mieli nadzieję, że pan Barron przyniesie na spotkanie z kosmitami swoje złoto - oznajmił Bob. - Chcieli zabrać skarb i czmychnąć. Sądzieli, że pan Barron nie będzie robił wielkiego szumu wokół tej kradzieży. Wyobraźcie sobie, jak wyglądałaby jego rozmowa z gliniarzami! Musiałby im powiedzieć, że przytaszczył dorobek całego życia na górską łąkę, bo zamierzał odlecieć z kosmitami do odległej galaktyki!

- Biedny pan Barron wyszedłby na idiotę, prawda? - dodał pan Hitchcock. - Dzięki wam, chłopcy, uniknął kompromitacji.

- Powinniśmy wcześniej zrozumieć, co się dzieje - rzucił ponuro Jupe. - Gdy zorientowałem się, że Elsie i porucznik używają tych samych określeń, wszystko stało się jasne. Skojarzyłem, że oboje wspominali o grzechotniku i burzy. Rękawiczki też stanowiły istotną wskazówkę. Powinienem wziąć pod uwagę, że orędzie prezydenta usłyszeliśmy w chwili, gdy Elsie włączyła radio. To kucharka podsunęła Barronowi myśl, że na farmie będą szukać schronienia wysoko postawione osobistości. Głośno wyraziła obawę, że przyjdzie jej gotować dla tłumu notabli. Szef zapewnił, że nie ma się czego bać, wystawił strażę na granicach posiadłości i polecił, by nikogo nie wpuszczać. Elsie wiedziała, że Barron fatalnie znosi wszelkie naciski przedstawicieli rządu, i sprytnie to wykorzystała.

- Kiedy zaczęłaś podejrzewać Mary? - zapytał pisarz.

- Nie dawał mi spokoju ten komunikat wysłany rzekomo z pokładu latającego spodka - oznajmił Jupe. - Przemyślałem wszystko, gdy Ferrante i jego wspólnicy rozbijali betonową podłogę. Elsie dopilnowała emisji orędzia sfabrykowanego przez złodziei, Mary natomiast miała za zadanie nadać w odpowiedniej chwili wiadomość od kosmitów. Przypomniałem sobie fotografię znaną w pokoju Elsie i doznałem olśnienia. Tańcząca para widoczna w głębi to Mary oraz Jack Spratt! Wszystkie części układanki automatycznie wskoczyły na właściwe miejsca. Muszę przyznać, że to była wyjątkowo skomplikowana zagadka kryminalna.

- Trudna, ale pasjonująca - dodał pan Hitchcock.

- Oglądałem niedawno ciekawy program telewizyjny. Komisarz policji mówił o metodach, którymi posługują się oszuści - wtrącił Pete. - Na koniec stwierdził, że gdyby ci ludzie zabrali się do uczciwej pracy i wkładali w nią tyle wysiłku, co w najrozmaitsze mistyfikacje, opływaliby w dostatki, nie wchodząc w konflikt z prawem.

- Słuszna uwaga - przytaknął pan Hitchcock. - Spotykałem w życiu rozmaitych kanciarzy i doszedłem do wniosku, że mają jedną wspólną cechę: uczciwość i prostolinijność są im z gruntu obce. Kantowanie bliźnich to ich sposób na życie. Widzą świat w odmiennej perspektywie.

Jupe ze zrozumieniem pokiwał głową i dodał:

- Moim zdaniem Elsie zatrudniła się na ranchu pana Barrona bez żadnych złych zamiarów, ale już wtedy miała żal do świata, który tak niesprawiedliwie potraktował ją samą i jej ukochanego braciszka. Oboje sądzili, że zasługują na lepsze życie, postanowili więc zadbać o swoją przyszłość i ukraść skarb Barrona.

- Życie bywa niesprawiedliwe, co? - mruknął pan Hitchcock. - Jesteśmy naiwni łudząc się, że potraktuje nas łaskawie. A co z Mary? Po co włączyła się do tej gry?

- Wiadomo, że potrzebowała forsy, żeby studiować. Uznała, że nie można zmarnować takiej sposobności - odparł Bob, wzruszając ramionami.

- Ambicja pokonała skrupuły? To brzmi prawdopodobnie - uznał pan Hitchcock. - Ciekaw jestem, czy wiecie, gdzie Barron ukrył złoto.

- Nie zwierzył nam się, ale to było łatwe do odgadnięcia - stwierdził Jupe. - Meble ustawione na werandzie zostały wykonane na zamówienie. Były w nich szczeliny przypominające otwory, w które wrzuca się pieniądze do automatów ze słodyczami lub napojami. Pan Barron uznał złote monety za najlepszą lokatę kapitału. W blatach stołów i siedzeniach krzeseł znajdowały się skrytki. Pieniądze wrzucał do środka przez szczeliny. Jego meble ogrodowe były ciężkie od złota!



- Niewątpliwie przeniósł już skarb w inne miejsce - kontynuował Jupe. - Niewiele brakowało, żeby całe to bogactwo dostało się w ręce Elsie oraz jej brata. Z pewnością pan Barron zadbał, by taka sytuacja się nie powtórzyła. Może z czasem odzyska zaufanie do banków i funduszy powierniczych. Jedno jest pewne: pani Ernestyna nadal żyje w przekonaniu, że pewnego dnia życzliwi ludziom kosmici zstąpią na Ziemię otoczeni błękitną światłością. Latem odbędzie się na farmie zjazd podobnych do niej entuzjastów. Pani Barron poleciła wybudować na łące ponad tamą mównicę i audytorium. Będą tam wygłaszane referaty. U stóp urwiska postanowiła umieścić pojemniki z gazem, by można było w każdej chwili podziwiać wspaniałą iluminację.

- Genialne! - wykrzyknął reżyser. - To mi się podoba! W porównaniu z pomysłem pani Barron mój neon nie jest żadną ekstrawagancją!

- Chcieliśmy pana o coś zapytać - zaczął z powagą Jupe.

- Słucham...

- Zgodził się pan opisać poprzednią zagadkę kryminalną, którą rozwiązaliśmy. Przyszło nam do głowy, że także niedawne zdarzenia mogą pana zainteresować. Gdyby inne zajęcia pozwoliły...

- Nie musisz nic wyjaśniać - przerwał mu pan Hitchcock, podnosząc rękę. - Będę zaszczycony, jeśli pozwolicie mi opisać waszą przygodę. To wspaniały materiał.

Po czym sięgnął po ciastko i żuł je z roztargnioną miną.

- Wygląda na to, że plany złodziei spełzyły na niczym z powodu gościnności pani Barron. Gdyby was nie zatrzymała na obiedzie, opuścilibyście ranczo zbyt wcześnie i nie mielibyście szans na rozwiązanie pasjonującej zagadki kryminalnej. To dla mnie ważna przestroga.

W tej samej chwili Don wsunął głowę przez otwarte drzwi, by zapytać, czy gościom smakuje podwieczorek.

- Odwaliłeś kawał dobrej roboty, Don - rzucił pan Hitchcock z chytrą miną. - Tak trzymać! Kto wie? Może pewnego dnia udaremnisz zuchwałą kradzież, podając gościom na czas półmisk czekoladowych ciasteczek!